

Instytut
Nauk
Głównych

P. II. 376

Wydawnictwa rok VI
Dnia 25 listopada 1928 r.

Nr. 273

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy”

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego
TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

DEMOKRACJA A SILNE INDYWIDUALNOŚCI POLITYCZNE

NIEDYSKRECJE :

- Serdeczne przyjęcie Sir Erica Drummonda 754
- Ustąpienie Paul Boncour'a i p. Jouhaux „
- Stosunki partyjne w Niemczech „
- Wielka mowa ministra Stresemanna „
- Wizyta króla Aleksandra w Paryżu „

DEMOKRACJA A SILNE INDYWIDUALNOŚCI POLITYCZNE W. Stpiczyński . 755

LATA PRZEŁOMU EUROPEJSKIEGO T. Gruczewski 757

O ZIEMIE MIĘDZY ODRA I WISŁĄ St. Poraj 758

„GŁOS PRAWDY LITERACKI”

- Pamięci Attilio Begey'a M. T. B. 759
- Wyzwalanie Polski Paweł Hulka-Laskowski 760
- Smutek 762
- Radość Hanna Huszcza-Winnicka „
- Poeta Stefan Balicki 763
- Na marginesie jkb. 764
- Kronika literacka Prof. Dr. Paweł Krzowski . 765
- Kantorbery Tymowski Arkadiusz Mirkowicz . 766
- Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego . . . 767

NIEDYSKRECJE

Serdeczne przyjęcie Sira Erica Drummonda, sekretarza generalnego Ligi Narodów i p. Yotara Siegimury, dyrektora jej sekcji politycznej, zarówno przez sfery rządowe, jak koła polityczne i opinję publiczną jest dowodem żywej sympatii, jaką powszechnie cieszy się u nas Liga Narodów. Zdajemy sobie doskonale sprawę z jej bezsilności w rozstrzyganiu poważnych zatargów międzynarodowych, cenimy jednak wysoko jej wielki dorobek na polu współpracy państw i narodów w kierunku budowania podwalin przyszłego pokoju. Jeżeli złośliwi nazywają Ligę Narodów „une grande endormeuse”, — wielką usypiaczką, mając na myśli tych naiwnych, którzy ludzą się, iż Liga Narodów jest już w dzisiejszym swym stanie dostateczną gwarancją pokoju, to epitet ten byłoby niesprawiedliwością stosować do innej, bardziej rzeczowej strony jej działalności. W pracach swoich, poświęconych głębokim badaniom nad możliwością skoordynowania życia gospodarczego narodów, międzynarodowej ochronie pracy, walce z epidemjami, kooperacji sfer intelektualnych i t. d., instytucje genewskie, znajdujące się pod protektoratem Ligi nie tylko nie usypiają opinii publicznej, lecz przeciwnie, pobudzają ją do zainteresowania się pierwszymi problemami ludzkości i do rozwiązywania ich pod kątem pokoju powszechnego. Wielkie zasługi Sira Erica Drummonda, jako organizatora niezmiernie skomplikowanego a działającego spreżyście aparatu Ligi, zaskarbiły mu powszechne uznanie na świecie. Polska jest jednym z najczynniejszych członków Ligi od chwili jej powstania, to też z prawdziwą radością powitała u siebie dwóch tak wybitnych jej przedstawicieli, jak Sir Eric Drummond i jego najbliższego współpracownika p. Yotaro Siegimura.

**

USTĄPIENIE PAUL BONCOURA I P. JOUHAUX, którzy od czasów kartelu byli ostatnimi „zakładnikami socjalizmu”, reprezentującymi w Genewie rząd Poincaré'go, oznaczające stanowcze przejście lewicy socjalistycznej, włączając jej najbardziej umiarkowane żywioły, do bezwzględnej opozycji, uniemożliwiającej współpracę z rządem nawet na terenie zagranicznym. Czy posunięcie to ma być wstępem do wskrzeszenia dawnego kartelu lewicowego z udziałem radykalnych socjalistów? Jak można wnosić z głosowania nad wotum zaufania dla „gabinetu 11 listopada”, radykalni socjaliści, którzy się przyczynili do upadku rządu jedności narodowej, narazie zachowują rezerwę. Lecz już najbliższe dni wykażą, jak dalece posuną radykalni socjaliści swą neutralność. Nie ulega bowiem wątpliwości, że debaty budżetowe, zwłaszcza zaś obrady nad słynnymi artykułami 70 i 71 ustawy budżetowej, zgalwanizują kartel lewicowy w parlamencie. Czy będzie to znów zwarty blok antyrządowy, czy też luźne porozumienie partji lewicowych, w każdym bądź razie nowy rząd Poincaré'go będzie miał do czynienia z mocnym frontem opozycyjnym, z którym będzie musiał się poważnie liczyć.

**

JAKŻE ODMIENNIE UKŁADAJĄ SIĘ STOSUNKI PARTYJNE W NIEMCZECH! Nawą państwową kieruje wielka

koalicja, jednocząca wszystkie niemal większe stronnictwa Reichstagu, z wyłączeniem skrajnych ugrupowań prawicy i lewicy. Zdawałoby się, iż ze strony parlamentu rządowi żadne nie grozi niebezpieczeństwo, skoro opozycja niemiecko-narodowej partji i komunistów łącznie reprezentuje zaledwie 100 mandatów. Tymczasem w związku z pamiętną uchwałą rządu Rzeszy z dnia 10 sierpnia r. b. o budowie pancernika A wytworzyła się w parlamencie paradoksalna sytuacja, gdy jedno z największych stronnictw Reichstagu, socjalna demokracja, której przedstawiciel stoi na czele gabinetu, zgłosiła wniosek o zaprzestanie budowy pancernika, występując tem samem przeciwko rządowi i jego uchwale. Paradoksalność sytuacji potęguje fakt, iż partja zmusiła ministrów-socjalistów, aby głosowali w Reichstagu za wnioskiem partji, a więc wbrew własnej uchwale w łonie rządu. Gdyby podobny stan rzeczy wytworzył się w kraju o tradycyjnych zasadach parlamentarnych, — naprzykład w Anglii, — pociągnąłby za sobą niechybną dymisję gabinetu. W Niemczech jednak parlament przeszedł nad tą sprawą do porządku dziennego. Większość Reichstagu wypowiedziała się za dalszą budową pancernika, wniosek socjalistów upadł... — gabinet pozostał i rządzi nadal

**

WIELKA MOWA MINISTRA STRESEMANN, który po dłuższym wycieczku ze zdwojoną energią przystąpił do pełnienia swych obowiązków, owiana była, jak się wyraził jeden z deputowanych, „duchem Locarna”. To też przychylnie i z zainteresowaniem została przyjęta przez Reichstag, aczkolwiek nic nowego w przemówieniu Stresemanna nie usłyszano. Ustęp mowy o pakcie angielsko-francuskim znalazł oddźwięk w angielskiej prasie liberalnej, która swe opozycyjne względem torysów stanowisko usiłuje zabarwić tendencjami filoniemieckimi. Z ostrą krytyką spotkał się natomiast Stresemann w prasie francuskiej wszystkich niemal odcieni, która stanowczo przeciwstawiła się ujęciu przezeń kwestyj ewakuacji Nadrenji i reparacji, jako dwóch odrębnych i nic wspólnego ze sobą nie mających problemów.

**

WIZYTA KRÓLA ALEKSANDRA W PARYŻU, przebywającego w stolicy Francji incognito celem zasiągnięcia porad lekarskich, według opinii osób, zbliżonych do jugosłowiańskich kół rządowych, winna wyrzec poważny wpływ na załagodzenie „sporu rodzinnego” między serbami a chorwaciami. W naradach między królem Jugosławji a prezydentem Doumergu'iem i ministrem Briandem miały być poruszone tarcia wewnętrzne w Królestwie S. H. S. i związane z tem osłabienie sytuacji zewnętrznej Jugosławji, szczególnie wobec Włoch. Trudno jest przewidzieć, czy i w jakim stopniu dyplomaci francuscy będą umieli oddziaływać na autonomistów chorwackich, wewnętrzna jednak konsolidacja Jugosławji leży w interesie nie tylko bratnich narodów słowiańskich, lecz całokształtu bałkańskiej i nawet śródziemnomorskiej polityki Europy.

DEMOKRACJA A SILNE INDYWIDUALNOŚCI POLITYCZNE

*Z rozważań abstrakcyjnych na marginesie aktualnych
zjawisk w życiu polskim.*

Jest rzeczą konieczną, gdy się bierze udział — mniej lub bardziej czynny, bezpośredni czy pośredni — w walce politycznej i gdy ta walka zaczyna pozornie tracić wszelki sens i oddalać się od racjonalnych jej założeń — jest, powiadam, rzeczą konieczną wówczas zejść poprostu z placu boju i zdala od niego, w ciszy, zastanowić się nad wyższym, nieprzemijającym sensem zjawiska, którego funkcją ma być właśnie bezład krzyków i ataków, wypełniających bitewnym hałasem pole bitwy. W rzeczywistości bowiem, każda walka, jeśli tylko zaczyna górować nad celami, w imię których powstała, i poczyną stawać się sztuką samą dla siebie — staje się idjotyzmem. Największą sztuką polityka, jak żołnierza, jest umieć w porę wypowiedzieć i w porę kończyć walki. Hasła bojowe bowiem, zbyt często nadużywane, w czasie gdy się boju rozpoczynać nawet nie zamierza, — tracą swój walor i kto wie, czy gdy zjawi się konieczność, zdołają one poderwać do walki masy. Przeważnie nie. Walka rozpoczęta i we właściwym czasie nie wstrzymana — bądź to z przyczyn prestiżowych, bądź z obawy przed ryzykiem przedstawienia przekładni życia z wojny na pokój, — wynaturzy się i pocznie wygasać samotnie, bez kontroli i zgody jej przewodców.

Możemy często obserwować w życiu politycznym skutki zbyt wcześnie wypowiedzianych, lub zbyt późno przerwanych walk, nie mówiąc oczywiście o walkach głupich, podobnych owym zajazdom szlacheckim, które mogła wywołać ujemna opinia imć Telesfora o zaletach bułanej klaczy imć Gaudentego. Lecz w walkach, że tak je nazwiemy, naturalnych wyrastających ze sprzeczności interesów niewątpliwiej, z konieczności obrony ideałów i potrzeb słusznych, — w takich walkach często czynnikiem klęskowym jest brak odwagi przewodców przerwania ich w porę, naiwne często przekonanie, że leader wogóle powinien stale prowadzić swoje masy do boju. Że pokój, czy zawieszenie broni w polityce jest jakimś wstydem.

Polityka realna nie ma doktryn. Zna ona tylko cele i sposoby ich osiągnięcia. Jeśli ktoś powiada, że sposób osiągnięcia pewnego celu jest niezmienny, niezależny od warunków chwili w której przystępujemy do działania; że był on takim samym przed laty 100 jakim jest dzisiaj i będzie za następnych lat 100 — można spokojnie zaoszczędzić sobie trudu słuchania jego mądrości. Jest to doktryner i nigdy politykiem realnym nie będzie. Można z nim wypić beczkę wódki, lecz działać z nim nie należy. To człowiek stracony.

Doktrynerstwo w polityce jest pozą umysłów nieinteligentnych i płytkich. Doktryner stoi jak skała, o którą rozbija się każda fala, najpiękniejsza, lecz sam on niczego nie rozbija. Stoi martwo na miejscu i zlorzeczy innym. Warunkiem zaś zwycięstwa, osiągnięcia nowych celów, — jest ofenzywa. Polityk realny rusza się żywo na scenie działania, atakuje swój cel z różnych stron, zmienia postawę i pozycję, działa walką i układem na przemian i wreszcie zwycięża. Lecz nawet wtedy dogoni go

piorunująca klęska doktrynera, który stojąc w miejscu i obserwując żywe kroki polityka nie posiada się z oburzenia, iż ma on śmiałość zastępować jego doktrynę nieustannym ruchem, zbliżającym go do celu. Pogoni go okrzykiem: „zdrajca” i epitetem „karjerowicz” i każdym słowem nikczemnym a bolesnym. Lecz zapytany co sam zrobił, odpowie, tylko: no, ja nie zdradziłem! Głupota owija się swoim głupim sztandarem zwycięstwa w nic nie robieniu i jest szczęśliwa.

**

Obserwacja dziwnego dla wielu zjawiska, a mianowicie, że Piłsudski idzie w Odrodzonej Polsce ciągle przebojem ku wytkniętym celom, przebijając się przez opór prawego, raz lewego, a czasami całego omal frontu parlamentarnych reprezentacji politycznych i ich odpowiedników w sztabach partyjnych, mimo, iż osiągnięte przez niego cele są oczywiście skwapliwie adoptowane przez wczorajszych przeciwników sięgania po nie, — musi nas skłaniać do szukania racji tego zjawiska w zagadnieniu, które sformułowaliśmy w tytule tego artykułu, a mianowicie: czy możliwe jest pogodzenie się demokracji z wielką indywidualnością polityczną. Mówimy polityczną, gdyż oczywiście demokracja pogodzi się zawsze z wielkim poetą, malarzem, muzykiem, lekarzem, architektem. Lecz czy może się ona pogodzić i współdziałać zgodnie z wielkim twórcą w dziedzinie polityki

Odpowiedzi na to pytanie nie należy szukać w ramach personalnych czy partyjnych, aktualnie istniejących w naszej Ojczyźnie, gdyż wówczas pozostanie ono nie rozstrzygniętem. Szukajmy jej w samej strukturze demokracji, w jej duchu i koniecznościach.

Trzeba stwierdzić na wstępie, iż obecne formy demokratycznego ustroju naszego i innych państw, nie mogą być uważane za coś stałego i niezmiennego. Wogóle świat nie ma ani ustrojów stałych ani idealnych. Każdy jest wyrazem ducha pewnej epoki i każdy ma swoje liczne i to bardzo liczne wady.

Jeżeli ustalimy, iż pod pojęciem demokracji rozumiemy ustrój wykluczający upośledzenie jakichkolwiek grup społecznych w obliczu prawa formalnego i obyczajowego, i niesprawiedliwość w obarczaniu ciężarami, wynikającymi w z organizacji wspólnego życia narodu — któż może dzisiaj odgadnąć jak daleko jeszcze posunie się w przyszłości ewolucja form demokracji, w pościgu za idealną sprawiedliwością, z dążenia do której powstała i wyrosła. Przestrzeń dzieląca nas obecnie od tej idealnej sprawiedliwości jest tak wielka, że jest na niej dość miejsca na wiele przemian i przeobrażeń. Idą one różnymi drogami, nawzajem ze sobą powiązanymi, a więc polityczną, a więc gospodarczą, a więc kulturalno-obyczajową, — idą nieustannie, dniem i nocą, w niez mordowaniu podobne zasłuchanym w rytm własnej pracy naszym sercom.

To co się nazywało przed wojną demokracją i co jest nią obecnie — nie może być zupełnie porównywane. Co będzie z nią za lat 10 czy 20 może być równie bardzo odległe od treści dzisiejszej. Demokrata rozumny nie może odrzucać *a priori* żadnej nowej myśli ustrojowej. Wszystko jest w marszu. Trwały jest tylko cel. Sposoby docierania doń mogą i muszą się zmieniać.

Lecz w założeniu swoim, niezależnie od zmienności form ustrojowych, demokracja jest i musi pozostać dążeniem do przeciętności i kolektywizmu. W ustroju ary-

stokratycznym, gdy samo urodzenie decydowało w przynależności do kasty rządzącej, czy masy narodu z praw wydziedziczonej i będącej nawozem pod przepych i siłę możnowładców — kwitł indywidualizm. Po przez szczyty wieżyc zamków i pałaców paru wielmożów, rozciągał się poziom kultury narodu. Blaski roztaczanego przez nich bogactwa zastaniały całą rzeczywistość kraju — były one wystarczającym reprezentantem jego możliwości i dobrobytu.

Demokracja wystawiła naprzeciw tym fortunom jednostek nędzę całego narodu i powiedziała: różnica między pierwszemi i drugą musi być wyrównana. Ma odtąd panować przeciętność dobrobytu, praw czyli przywilejów i obowiązków. Ludzie zatem są wolni i równi. Suwerenem jest naród, złożony z równych sobie obywateli, posiadających, niezależnie od majątku, wykształcenia i wieku (w zakresłonych granicach) równy głos w kierowaniu sprawami publicznymi.

Od tej chwili miernikiem dobrobytu narodu przestała być ilość drogich kamieni, szlachetnych metali i pięknych kobierców a materji posiadanych przez imć pana na takich czy innych rozkraczonych majątnościach, a stała się ilość konsumowanego przez społeczności chleba, cukru, mięsa, tekstylji, obuwia i t. d., i t. d. Rejestr ten rozszerza się automatycznie w miarę przyswajania sobie przez ludzkość coraz nowych zdobyczy kultury materialnej, i dzisiaj należy już doń węgiel, prąd elektryczny, urządzenia kanalizacyjne, szpitale, ubezpieczenia społeczne i t. d. Między narodami powstał nowy rodzaj rywalizacji: o wyższy poziom przeciętności dobrobytu powszechnego i w ten sposób usunięte zostało niebezpieczeństwo, niejednokrotnie wysuwane w przeszłości i dziś nawet jeszcze powtarzane, że dążenie do przeciętności będzie się równało obniżeniu poziomu kultury narodowej. Dzisiaj obszarnicy operują tym samym argumentem w walce z reformą agrarną. Lecz jest to nader naiwna obrona. Pałace i zamki, w chwili gdy zatrzęsa niemi demokracja, były przedewszystkiem w przyniatającej większości — gwiazdami rozpusty i wyuzdania. Wałącym się ich kopułem złota towarzyszył tylko wrzask kochanic i zidjociałych w próżniaczym dosycie rezydentów. Kultura nie poniosła przy tej okazji żadnego uszczerbku. Przeciwnie, teraz dopiero zaczęło się jej nowe, bujne życie. Gdy zniknęła, a zniknąć musi, t. zw. obszarnictwo, wraz z niem zejdzicie ze sceny drobna kasta mało naogół oświeconych ludzi, o rozwiniętych uczuciach egoistycznych i z punktu widzenia interesu chociażby skarbu narodowego, nieprodukcyjnych, a często szkodliwych. Nic więcej.

Dążenie do przeciętności i kolektywizmu, zostało i musiało zostać przeniesione i do politycznej strony życia demokracji. Naród jest suwerenem. By móc sprawować swą władzę, wyłania on swoich mężów zaufania — posłów i oni, zebrani w ciało zbiorowe — parlament, — działają w jego imieniu. Ustanawiają ustawy, kontrolują władzę wykonawczą. Nad nim i władzą wykonawczą stoi głowa państwa, nieodpowiedzialna. Odpowiada za jej kroki rząd Głowa Państwa zatem nie posiada żadnej władzy samodzielnej.

W całej tej konstrukcji władz, staje się zrozumiałem, iż parlament. — zanim w drodze najróżniejszych prób i doświadczeń dojdzie do zrozumienia swojej istotnej życiowej roli, — może łatwo — jak to było u nas, pokusić się o nadanie swojemu tytułowi, reprezentacji narodu,

nader rozciągniętego znaczenia i pokusić się o skupienie w swoim ręku całej władzy: i wykonawczej i ustawodawczej. Jeśli nadto ułatwi on sobie zadanie przez takie ułożenie ordynacji wyborczej, które uczyni parlament wyłączną ekspozyturą paru czy kilku silnych partyj, cel może być szybko osiągnięty. Państwo i naród dostają się wówczas w pacht kilku czy kilkunastu leaderów silnych stronnictw, stanowiących nieoficjalne ciało dyktatorskie, którego decyzje obejmują parlament i wyłaniany przezeń i odeń zależny rząd.

Oczywiście, jednostka o silnej indywidualności, która nie chce stanąć na usługi takiego nieoficjalnego dyktatorjatu, a szuka własnego oparcia w narodzie dla zdobycia władzy, nie może oczekiwać nie tylko poparcia ale nawet obojętności ze strony dyktatorjatu i grup parlamentarnych, przezeń dowodzonych.

A jednak rodzaj kolektywizmu i przeciętności, reprezentowany przez parlamentaryzm, nie wytrzymuje próby życiowej. Nawet jeśli chodzi o mniej więcej zdrowy parlamentaryzm, za jaki możemy ostatecznie uważać parlamentaryzm francuski.

Zaczyna się przedewszystkiem od wojska, którego organizacji nie udaje się w żaden sposób udemokratyczyć. Ducha tak. Podstawą wojska jest teraz — jak pięknie rzekł Piłsudski — „dusza prostego żołnierza”. Koniec parad i igraszek żołnierzem ku ucieście honorowanych głów i ich kuzynów. Lecz organizacja wojska pozostaje antidemokratyczną. Dyscyplina, rozkaz, ślepe posłuszeństwo dla hierarchji. Stąd ciągle połowiczny i pełen wahań stosunek demokracji do wojska. Stąd pośpiech z jakim demokracja francuska np. postarała się, natychmiast po wojnie, usunąć w cień generałów o głośnych nazwiskach z placów bojów — by nie stali się niebezpiecznymi, by im przypadkiem nie przyszło do głowy przeciwstawić swego kapitału moralnego, pozycji parlamentu, z natury rzeczy bardzo zmiennej i często piekielnie słabej. Lecz zasada kolektywizmu szeregów wojska przebić nie może.

Lecz idźmy dalej. Życie płynie miarowo i spokojnie. Nie trzeba mu żadnych nadzwyczajnych okazywać pomocy byle nie przeszkadzać. Przeciętność i kolektywizm prosperują świetnie. Parlament przyjmuje do wiadomości, że jest dobrze. Życie płynie.

A oto zjawia się wojna, burzy wszystkie niemal podstawy życia, podnosi napięcie namiętności ludzkich, burzy i niszczy kolebki dostatku, — ziemia drży w posadach, trzeba wiązać porwane nici, budować życie na nowych fundamentach, trzeba działać szybko, decydować momentalnie gonić uciekający czas.

I oto kolektywizm, ze swoją aparaturą przewlekłych deliberacyj, z całą nieodpowiedzialnością składających się nań jednostek, — staje bezradny wobec krytycznej sytuacji. Zaczyna się wówczas oglądać za jednostką na którą mógłby złożyć ciężar swoich kłopotów. I wówczas parlament szuka sam wybitnej indywidualności, względnie stwarza jej fikcję. Historia olbrzymich pełnomocnictw sejmowych dla p. Władysława Grabskiego, poddanie się przez długi czas całkowite, parlamentu francuskiego woli Poincaré'go, — oto przykłady, gdy kolektywizm sam kapitulował i poddawał się kierownictwu jednostki, ufając jej sile indywidualnej.

A zatem?

Zatem demokracja nie wyklucza istnienia i działania wybitnych indywidualności i nie doznaje zachwiania z po-

wodu czasowego ograniczenia zasady kolektywizmu na rzecz indywidualnego kierownictwa losami narodu przez jednostkę.

Pozostaje nam zatem rozważyć specyficzne cechy aktualne u nas istniejącej sytuacji, co jednak odkładamy sobie do najbliższej okazji.

W. Stpiczyński.

LATA PRZEŁOMU EUROPEJSKIEGO

1848 — 9.

Ośmdziesiąt lat upłynęło od wybuchu rewolucji europejskiej i od jej klęsk, które uzupełnił jeszcze rok następny. Rozwiała się szybko złudzenia „wiosny ludów”, na całym niemal lądzie europejskim reakcja wzięła górę, a na czele jej stanęła carska Rosja, od której odbiły się ruchy rewolucyjne, nie wstrzymawszy nią na chwilę. Car dumny był z tego widocznego dowodu potęgi i mądrości swych rządów, a upadający absolutyzm europejski z uznaniem i zazdrością spoglądał w stronę swego mistrza i wodza.

Poza pewnemi i częściowemi zdobyczami rewolucja wszędzie poniosła klęskę, do władzy przyszła reakcja i długo ciążyła nad Europą. Niemniej jednak procesy polityczne i społeczne, których wybuchy oświetliły jaskrawym światłem „wiosnę ludów”, szły i rozwijały się w dalszym ciągu pociągając głębokie zmiany w ustroju wewnętrznym państwa i w ich wzajemnych stosunkach. Przyszło do skutku zjednoczenie Włoch i Niemiec, przywrócenie republiki we Francji, złamanie centralistycznego absolutyzmu w monarchji habsburskiej. Razem z politycznemi wymiatano ze starych państw anachronizmy społeczne, których było jeszcze bardzo dużo w pierwszej połowie 19-go stulecia.

Czasy późniejsze dokonały pewnej realizacji postulatów „szalonego roku” pomimo klęski samej rewolucji. Oczywiście realizacja ta wyglądała zgoła inaczej, niż wyobrażali ją sobie wyznawcy i działacze ideologii rewolucyjnej. Zjednoczenie Włoch i Niemiec istotnie nastąpiło, lecz zamiast demokratycznej republiki ukazało się na widowni europejskiej nowe cesarstwo niemieckie, zakute w żelazo i zagrażające wszystkim swą potęgę militarną. I w zjednoczeniu włoskiem również ukrywały się niespodzianki i sprzeczności, z których z czasem miał się zrodzić faszyzm, a które w swoim czasie na dzieło zjednoczenia rzucały zagadkowy cień. Odnowiła się na nowych zasadach monarchja habsburska, lecz od początku „ery konstytucyjnej” zawisło nad nią pytanie, czy wobec różnorodnego składu narodowego konstytucjonalizm stanie się dla niej lekarstwem czy trucizną.

Tak, wiele spraw znalazło rozwiązanie zgodne z programem 48-ego roku, lecz rozwiązanie to wypadło zgoła inaczej niż oczekiwali i pragnęli jego szermierze. Najwidoczniej program ten zawierał w sobie linje rozwojowe bliskiej przyszłości, lecz miał się do niej tak jak abstrakcja do faktu konkretnego, jak szematyczna formuła do życia. Teorie i marzenia 1848-ego roku, to była właściwie ideologia rewolucji francuskiej, rozszerzonej na całą Europę i oczyszczonej od błędów, skrajności i zbroceń. Ide-

ologia ta rozwijała się w ciągu długich dziesięcioleci, w których sama rewolucja była tylko pragnieniem i oczekiwaniem. Pierwszem doświadczeniem w wielkim stylu był „szalony rok”; przed nim w danym zakresie o żadnej praktyce nie mogło być mowy. Tem swobodniej bujały abstrakcje i bez trudności dawały rozwiązanie wszelkich kwestyj Nic łatwiejszego jak rozwiązywać je w abstrakcyjnej próżni, gdzie niema żywych ludzi z ich pożądaniami i apetytami, z ich namiętnościami i uprzedzeniami. Tam łatwo pogodzić wszelkie bezcielesne istoty, a właściwie niema nawet potrzeby ich godzić, gdyż niema między nimi antagonizmów i kolizyj.

Z ciężką kwestją ustalenia pomiędzy narodami powszechnego pokoju poradziła sobie ideologia ówczesnej demokracji w sposób zdumiewająco prosty. Poprostu uważała za pewnik, że ludy pozostają względem siebie w naturalnym stosunku przyjaźni i, że jeżeli nieraz prowadzą między sobą wojny, to jedynie z tej przyczyny, że są popychane i kierowane przez monarchiczne rządy, mające własne swe interesy, sprzeczne po największej części z istotnym dobrem ludu. Z chwilą, kiedy te rządy będą obalone, a władza państwowa znajdzie się w rękach wybrańców i przedstawicieli ludu, wnet wyschnie źródło wojen i niezakłócony pokój zapanuje sam przez się w cywilizowanym świecie.

Monarchowie i ludy! Innej przeciwstawności nie znała jeszcze romantyczna ideologia pierwszej połowy zeszłego stulecia. Ale właśnie „szalony rok” pokazał, że mniemana jedność ludu ukrywa cały kompleks sprzeczności i antagonizmów, że według wyrażenia Marksa, istnieją w Europie inne jeszcze kwestje jak dylemat i monarchja, czy rzeczpospolita”.

Krwawe walki czerwcowe na barykadach Paryża zainaugurowały nowy okres w życiu społecznym Europy. Stan trzeci, który według pamiętnego określenia był w państwie przed wielką rewolucją „niczem”, a przez nią stał się „wszystkiem”, teraz stracił wyraźnie swą jedność; oderwał się od niego proletarijat robotniczy i pod własnym czerwonym sztandarem proklamował walkę o organizację pracy i swe własne prawa. Manifest, ułożony i wydany w tymże roku przez Marksa i Engelsa zawierał formułę socjalizmu, klasowego i który odtąd przez długie lata na całym lądzie europejskim nadawał ton ruchowi robotniczemu. Po poprzedniej ideologii zbratanych ludów socjalizm odziedziczył koncepcję ogólnej łączności proletariatu i usiłował znaleźć dla niej praktyczny wyraz w międzynarodowym związku socjalistów. Przez kilka dziesięcioleci uchronił ten ostatni za realną siłę, która miała uchronić ludy cywilizowane od okropności wojny, aż wreszcie przyszła chwila próby i złudzenia rozwiała się jak mgła. Rzekoma solidarność socjalizmu pękła po pierwszych strzałach wojennych i robotnicy pospieszili masą do walczących obozów.

Istniał w Europie cały legion politycznych liryków, którzy wiele łez wyleli nad zawiedzionemi nadziejami i złudzeniami „wiosny ludów”. Nadzieje te, stanowiące dalszy ciąg ideologii 18-go wieku i rewolucji francuskiej, aż do wybuchu 48-go roku nie spotykały się z żadnym doświadczeniem, były wytworem dawniejszych wspomnień tudzież legendy rewolucyjnej, która miała się odrodzić w postaci jeszcze wspanialszej. Nie można powiedzieć, jakoby ideologia 48-go roku składała się wyłącznie ze złudzeń; wszak sprawdziło się po upływie znacznego czasu

wiele jego celów i przewidywań, ale ulotniła się niemal całkowicie ta optymistyczno-sielankowa barwa, która stanowiła ich właściwy koloryt.

Wielka praca dziejowa, którą jednym zamachem chciał wykonać „szalony rok”, rozciągnęła się na długie lata, nastrój pełnego wiary oczekiwania ustąpił miejsca doświadczeniu i starannemu badaniu jego wyników.

Czasy późniejsze nie będą żałowały przeżytych złudzeń, jak człowiek, który czegoś już dokonał w życiu nie będzie żałował swych młodzieńczych uniesień i podsuwanych przez nie fantastycznych obrazów.

T. Grużewski.

O ZIEMIE MIĘDZY ODRĄ I WISŁĄ

W niemieckiej, czy też ściślej może pruskiej literaturze propagandowej przewija się niby motyw przewodni melodji twierdzenie, jakoby ziemie, leżące pomiędzy Odrą i Wisłą, zwłaszcza zaś północna część tego terytorjum, stanowić miały przed wiekami siedliska germanów, wypartych stamtąd następnie przez słowian. Przesłanka ta, w pojęciu autorów tej literatury, uprawniać ma i tłumaczyć odwieczne parcie niemieckie na wschód, ów przysłowiowy już „Drang nach Osten”, który wydawałby się tym sposobem najzupełniej usprawiedliwionem ciężeniem ku pierwotnym siedliskom.

Owa wszakże chęć usprawiedliwienia niemieckiego parcia na wschód jest legendą, jest świadomym fałszem historycznym, któremu kłam zadają w pierwszej mierze nazwy poszczególnych starszych miejscowości czy rzek na tem właśnie terytorjum a nawet dalej na zachód leżących. Nazwy te, niezrozumiałe zupełnie dla Niemca, nabierają dopiero istotnej wartości w zestawieniu z ich odpowiednim stanowiskiem, najzupełniej tłumaczącem się dla Polaka, — czego przykładem będzie np. niemieckie „Kolberg”, nie mogący mieć nic wspólnego z pierwiastkiem „Berg” (góra), a to z racji położenia w nizinnej miejscowości nadmorskiej, — gdy przeciwnie polska nazwa tego miasteczka „Kołobrzeg” zgadza się z jego istotnym właśnie położeniem koło brzegu morskiego. Nie mnożmy jednak przykładów w tym kierunku, które zawieść mogłyby nas aż do miejscowości „Nowawes” tuż obok Berlina lub dalej na zachód do Bielefeldu, w której to nazwie występować ma tłumaczący się topograficznie słowiański pierwiastek „biały”, — natomiast sięgnijmy może po jedno ze źródeł niemieckich, zajrzyjmy do historyka niemieckiego Münsterusa z XVI stulecia, którego cytuje prof. Iselin w swym leksykonie historycznym z r. 1722.

Münsterus ów, niemiec-patrjota, z dumą mówiący o sobie, iż nikt przed nim nie odważył się wydawać książek w języku niemieckim, nie może być źródłem dla Niemców podejrzanem ani tembardziej stronnikiem, a przeciż wystawia on świadectwo odległym swych przodkom mocno niepoehlebne, stwierdzając, że starożytni germanie stale dążyli do wojen, a gdy wojny nie było, oddawali się obżarstwu i pijaństwu, dozór nad domostwami i polami pozostawiając kobietom i starcom. Nie budowali oni miast, nie troszczyli się zbyt o uprawę roli — przytacza dalej Münsterus za Juljuszem Cezarem, — co zresztą

nakazane im było przez zwierzchność, wszystką swą gorliwość zachowując na wypadek wojny i stąd też nie posiadali germanie żadnych przyzwoitych budynków. To samo powtarza dalej Münsterus za Saneką, iż germanie nie mieli porządných domów, mieszkając w szałasach, pokrytych liśćmi i gałęziami, ani też nie znali porządnej odzieży, tak, że był to lud obdarty i goły.

Ów właśnie jeden z pierwszych historyków niemieckich stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że odwiecznymi posiadaczami południowego wybrzeża bałtyku były ludy słowiańskie. Pisze on też jako o rzeczy ogólnie wiadomej, że „vor zeiten haben die Wandeln oder Wenden und Selaven das land so über der Elb liegt ingehabt, und haben sich auch doselbst der Wendischen oder Poländischen sprache gebraucht. Und also ist Meckelburg, Pommern, Behem und Poland alles ein ding gewesen” *).

Nie poprzestaje zresztą na tem. Pisząc swą krótką historję księstwa meklemburskiego, opartą na starych kronikach wendyjskich i meklemburskich, podaje dalej Münsterus, iż pierwotnymi mieszkańcami Meklemburgji byli owi właśnie werlowie, jednego z wendami pochodzenia, a dalej mówi: „Pomerland an dem Baltischen möre oder dem Ostse gelegen, darvon es auch von den ersten einwonern Pomorze in irer Wendischen sprachen genennat, ist durch seine eigne herren requirret, und seine völker bevonet”... **).

Nie jest on zresztą w tem, co mówi, odosobniony. Wcześniej odeń mówił to samo głośny również historyk niemiecki, Albert Krantz, zmarły w r. 1517, rektor uniwersytetu w Rostoku, taką cieszącą się sławą, iż go król duński i książę holsztyński zrobili swym sędzią rozjemczym w sporach swych z Ditmarsami. I on również ów „pilny pisarz historji saskiej” — jak go nazywa Münsterus — powiada najwyraźniej, że pierwotnymi mieszkańcami całego wybrzeża Bałtyku byli słowianie.

Takiego byli zdania o krainie nadłabskiej i pomorskiej sami Niemcy aż do szesnastego stulecia. Dopiero w siedemnastym wieku (1678 r.), znalazł się historyk niemiecki Micraelius, „niemal wszędzie swą nieprzychylność słowianom okazujący”, jak o nim mówi „der offtbelobte Herr Hartknoch”, — który obruszył się, iż „kilku historyków do tego czasu prawie cały świat przekonało, jakoby Pomorze... nigdy do Niemiec nie było zaliczane, lecz od początku narodowi wendyjskiemu się należało...”

Pierwszy więc z pośród historyków niemieckich Micraelius postawił tezę nową zupełnie. „Że wenedzi i słowianie tam (na Pomorzu) mieszkali, jest każdemu wiadomo” — stwierdza on na wstępie — „kto jednak przed nimi kraj ten posiadał, jest rzeczą ogólnie nieznaną” — dodaje skwapliwie, usiłując następnie udowodnić, że przed szczeniem słowiańskimi Pomorze posiadało ludność niemiecką.

Istotnie argument to przekonujący — przyznać należy owemu twórcy nowej tezy: „skoro niewiadomo,

*) Przed wiekami wandlowie albo wendowie posiadali kraj, leżący nad Elbą (Laba) i posługiwali się w dodatku mową wendyjską albo polską. To też Meklemburg, Pomorze, Czechy i Polska było to jedno i to samo.

***) Pomorze, leżące nad morzem Bałtyckim czyli Wschodniem i stąd właśnie przez pierwotnych mieszkańców w ich wendyjskim języku nazwane Pomorzem, rządzone jest przez swych własnych panów i zaludnione przez własne narody...

kto zaludniał Pomorze przed słowianami, a więc napewno musieli to być Niemcy!" Ale Micraelius tak śmiało tego jeszcze nie twierdzi. Przeciwnie, zdaje on sobie jeszcze sprawę, iż wywodom jego ogół nie uwierzy. „Ich weiss zwar woll, das viele nicht werden zugeben, das die mächtige Gothen, Longobarder, Suevi, Vandali und andere Siegreiche und von mir angezogene Völcker in diesem Lande und da herumb gewohnt" *) — ale mimo to usiłuje czytelnika przekonać, tłumacząc przy pomocy źródłosłów niemieckich nazwy miast takich, jak Kołobrzeg, Starogard, Belgrad, Słupsk i t. d.

Pomińmy sposób, w jaki to czyni, bo nie mamy tu najmniejszego zamiaru wprowadzać czytelników naszych w dobry humor, chodziło nam jedynie o uchwycenie momentu w którym się zrodziła, nieśmiała naprzód i bardzo jeszcze chwiejna legenda o odwiecznym posiadaniu ziem nad-

*) Wiem wprowadzę dobrze, że wielu mi nie przyzna, by potężni gotowie, longobarci, swemi, wandale i inne zwycięskie, przytoczone przezemnie nerody w tym kraju i opodal zamieszkiwały.

odrzańskich przez Niemców, — legenda, która następnie przez wieki wzrastać będzie na sile, zakorzeniać się i utrzymywać, coraz to większe połacie na wschód zagarniając, aż przeistoczy się wreszcie w wierzenie powszechne wśród członków militarystycznych organizacji niemieckich, że ziemie pra-polskie, jakie po wojnie odpadły od Rzeszy, zostały przez Polaków zdobyte rabunkiem i kiedyś — w dalszej czy bliższej przyszłości — muszą powrócić na łono macierzy.

Tego bowiem niejednokrotnie dowiedzieć się można z przemówień wiecowych, to można wyczytać w propagandowych broszurach czy też czasopismach, skąd przykład niżej podpisany dowiedział się, że Poznań był pierwotnie miastem niemieckim, zdybytem dopiero przez pierwszych władców polskich. — Tym wszakże, którzy głoszą powyższe, radzilibyśmy — w związku z przytoczonymi przez nas niemieckimi źródłami historycznymi, — by „jednego z najślawniejszych ludzi swego czasu”, jak się o Münsterusie wyraża prof. Iselin, rzucili na stos i spalili.

St. Poraj.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDARCIĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

Pamięci Attilio Begey'a

Parę dni temu zmarł największy przyjaciel Polski-Attilio Begey.

Ten wielki Włoch ukochał Polskę wtedy, gdy kraj nasz po powstaniu listopadowym, jęczał pod knutem Mikołajowskim. Wtedy A. Begey zbliżył się do emigracji polskiej, nauczył się języka polskiego, przejął się Mickiewiczem, którego był fanatycznym wielbicielem. Później poznał Towiańskiego, który wywierał na niego tak wielki wpływ, że Begey pozostaje wyznawcą idei Towiańskiego aż do końca swego pracowitego żywota.

Miłość A. Begey'a do Polski to długa żmudna praca zaznajamiania opinii całej Europy z kulturą Polski.

Zakłada Towarzystwo Przyjaciół Polski, gromadzi dzieła dotyczące naszej Ojczyzny pisze niezliczone artykuły, w sprawach naszego kraju.

Jedyne dzieło o Mickiewiczu w języku hiszpańskim zawdzięczamy Begey'owi.

Łaskawy Bóg pozwolił mu doczekać wielkiej chwili. Powstanie wolnej i niepodległej Polski od której otrzymał najwyższe odznaczenie, za swoją pracę i miłość polskości.

Siwy 86 letni starzec pielgrzymuje kilkakrotnie nad Wisłę ostatnio w jesieni ubiegłego roku.

Odszedł oznajmić duchom Mickiewicza, Towiańskiego i innych „pielgrzymów” że powstała.

Polska godnie uczci pamięć tego, który dla niej poświęcił całe swoje życie.

Pamięci człowieka, co uzyskał wysoki „ton ducha” i tworzył około siebie „jasną przestrzeń”, cześć i chwała!

M. T. B.

WYZWALANIE POLSKI

(Juljusz Kaden-Bandrowski, *Lenora. Z cyklu Czarne skrzydła. Powieść. Lwów 1928. Wydawnictwo Zakładu Narodowego Im. Ossolińskich. Str. 444.*)

Co zacz ta Lenora? Uboga dama, której do życia damskiego brak pieniędzy, więc na kawałek chleba i kąta u nędzarzy pracuje w kopalni. Nie ma rodziców ani rodziny, brak jej protekcji i grożą ciągle redukcje i szykany, więc się różnym panom sztygarom, strzałowym, i jak ich tam zwali, okupuje wdziękami swego ciała. Pisarzowi podobało się wysunąć ją na środek perspektywy zainteresowań i uczynić z niej symbol tej niewoli polskiej, która jeszcze trapi Polskę, niewoli groźnej i niebezpieczniejszej od politycznej, bo niedostrzegalnej jak ciężka choroba organiczna, o której nieraz nie wie sam chory. Około Lenory pełno zagłodzonych, okaleczonych fizycznie i moralnie Szymczyków, Martyzelów, Supernaków. Niedola ciągłego głodu, męka pracy nad siły, powolne konanie i ciągły strach przed redukcją. Atmosfera rozpacz i beznadziei. Jedna wiara wierzy we wszechmocne miłosierdzie rewolucji, druga — wypatruje cudu obojętnego Boga, którego kapłani trzymają z potęgą kapitału i gardzą nędzarzem. Instynkt trzyma się na tej kamienistej, nędznej i brudnej wysepce życia, którą pozostawił mu łaskawie — obcy kapitał.

W hierarchicznej perspektywie tej powieści stoi pan dyrektor Kostryń. Pan i dyrektor. Żaloszny fagas, popychadło, ładaczyna sprzedająca za gotówkę swoich braci, piesek merdający oronkiem przed panem dyrektorem generalnym, oczywiście Francuzem. Nędzniczek, jakby powiedział Rei, od podpisywania in blanco. „autochton”, potrzebny kapitałowi dla trzymania w ryzach innych „autochtonów”, figurzysta możliwa tylko w społeczeństwie niesolidarnem, niespołecznem, pozbawionem pierwocin opinii publicznej i moralności wymagającej.

Pan dyrektor Kostryń jest dumny ze swego szlacheckiego pochodzenia, ale człeczyna to podły. *Le directeur général*, Coeur, trzyma go jak psa na smyczy bezustanną grozą przepędzenia na cztery wiatry. Obcy kapitał idzie po trupach do swego celu i pan dyrektor Coeur podsuwa Kostryńowi tych, którzy mają być zadentani odrazu, i tych, którzy zadentowani są powoli. Postać realna, żywa i licznie reprezentowana wszędzie tam, gdzie kapitał Coeurów działa i krzewi bolszewizm rozpacz.

Obok niego piękna pani Stanisława, małżonka legalna, istniejąca na to, aby diabli wiedza co reprezentowała, aby była masowana starannie dzień w dzień przez masażystkę panią Knotę, kochankę pana dyrektora Kostryńia i donosicielkę, czyli szpiclówkę. W poniedziałki bawiają w domu koncerty amatorskie. Pan Kostryń jest, ach tak, wielkim miłośnikiem muzyki, a w pauzach wychodzi do gabinetu właśnie z panią Knotę, która jest „swoim człowiekiem”, pomaga pani domu, radzi, masuje, bawia.... W tym gabinecie dowiaduje się od swej donosicielki co gdzie mówią, co robią, co zamierzają, jaki nastrój wśród robotników. Czasem dręczą swoją kochankę, czasem ją troszkę karesuje, jak się zdarzy.

Obok papy Kostryńia i mamy Kostryńiowej rośnie i rozwija się uroczy kwiat panieństwa, panna Zuza. Gdy staje się aktualną dymisją pana dyrektora Kostryńia, żona

otwiera mu wiecznie zacerwienione i wiecznie łzawiące oczy na fakt, że przecież ten Coeur świata nie widzi poza Zuzą, że jeno patrzeć poprosi o jej rękę, a wówczas raz na zawsze skończy się ten stały strach przed dymisją, ta poniewierka ze strony tegoż pana Coeura. Nie wyleje przecie generalny dyrektor — zięć dyrektora teścia. Pan dyrektor Kostryń nurza się w błogościach tych perspektyw spokoju, chociaż gdzieś w głębi duszy istnieje coś takiego, co się jeszcze brzydzi podłotą takiego Coeura i co się wzdryga na samą myśl, iż trzeba będzie oddać mu córkę.

A ta córka? Ta panna z prowincji? Energiczniejsza od ojca, sprytniejsza od matki, której pani Knotę bezskutecznie doradza, żeby tego Francuza Coeura oswoić, ujarzmić! Z taką urodą, z takim ciałem! Panna Zuza takiej doradczyni nie potrzebuje. Chodzi na tenisa do dyrektora Coeura i w granicach ucziwego dmiwierzyźmu zdradza na pniu niewiomego bałwana, który stanie się jej mężem.

Jest więc praca, chora na suchoty, miejscami konająca, okaleczona, zreumatyzmowana, wystraszona możliwościami redukcji, mieszkająca w nędznych budach, wdeptana w błoto. Jest kapitał idący po trupach do swego celu i używający po drodze ile tylko wlezie. Obrońcą uciśnionych, fachowym i wyspecjalizowanym jest leader partyjny tow. poseł Mieniewski, niegdyś kolega Kostryńia, dziś jego przeciwnik. Obrona proletariatu jest oczywiście zorganizowana, w organizacji są ludzie, ludzie są niedoskonalimi i próżni nawet wówczas, gdy bronią proletariatu przed kapitałem. Na tle ambicji osobistych i pragnień ludzkich popełnia się niejedną błąd, miejscowy poseł, towarzysz Drażek, usiłuje zrobić dobrze, robi głupstwa, uzależniając pracę od kapitału, obezwładniając ją niejako. Gdy na kopalnię przyjeżdża tow. leader Mieniewski, musi zabrać się najpierw do prania partyjnego. Następnie musi przyjąć długi szereg delegacji i interesantów, wygłosić mnóstwo frazesów okolicznościowych i wreszcie przemawiać na wielkim wiecu, na którym dochodzi do typowej już burdy z komunistami.

Poseł Mieniewski ma żonę i synów, ale mieszka w Warszawie w „izdebce z pelargonją” i panną Anną Chylicką. Syn jego Tadeusz, wynalazca „włazolinu”, jedzie za nim z Borysławia do Warszawy, właśnie do „izdebki z pelargonją” i od panny Chylickiej dowiaduje się, że jego ojciec pojechał do Zagłębia węglowego. Istnieje obawa zamachu na jego życie, więc syn jedzie za ojcem aby go bronić, głównie zaś, aby się z nim rozmówić i dostać pieniędzy na fabrykację „włazolinu”, który ma być wyręka narciarzy i „włazolinu” zaprawy do podłóg i parkietów. Koło Tadeusza Mieniewskiego wylania się z mroku Lenora, biedna dama kopalniana.

Nieco w głębi obrazu widać postać odszczepieńczego księdza Kani, transponującego nędze ludzkie w wysokie oktawy wszechmądrości Bożej. Oficjalny kościół z kano-nikiem, jest gdzieś daleko poza sceną, nie interesuje się sprawami nędz tego świata, obchodzą go wyłącznie nędze duchowne. Ksiądz Kania zeszedł z ambony i odstąpił od ołtarza Bożego, aby pójść między lud, zbudować ołtarz wśród niego. Pociesza, wyjaśnia rozpacz i niedole, hoduje zioła lecznicze i odwiedza chorych, niosąc im dobre słowo, uśmiech i te zioła właśnie. Skupia się dokoła niego szarzyzna ludzka, kopalniana nędza imienna i bezimienna, istoty potrzebujące zmiłowania Bożego i cudu wobec dra-pieżności i krwiożerczości przemożnych bliźnich.

Między wszystkimi postaciami wielkimi i małymi snuje się zaafierowana i zapracowana pani Knot, masująca, przestrzykująca, szpiegująca. Ubocznie i jakby poza ramami obrazu wystąpi stary zacny geometra, który wykrywa Kostroniowi jakieś łajdactwa kopalniane, zagrażające życiu górników. Czyni to po pijanemu, bo na trzeźwo wszyscy już są do łajdactw dobrze wzwyczajeni. Chce powiedzieć dyrektorowi: — Jesteśmy stare biedne świnię. Świnię. Ale rozumiesz, kochany dyrektorze, że ta odrobina uczciwości, która nam pozostała, obowiązuje?! — mówi to samo, ale innemi, łagodniejszymi słowy, sfałszowanie planu nazywa eufemistycznie błędem, przypomina, że czterdzieści lat pracował uczciwie.

Zostaje przez biednego zahukanego fagasa i dyrektora Kostrzyma wygnany na zbity łeb. Żeby nie zawracał głowy. Upił się, czy co? Ożeniłby się lepiej, o!... Jest nawet taka zacna i dobra dla niego żona, wdowa po felczerze, pani Knot... Poseł Drażek gardłuje się z różnymi interesantami, jego małżonka wystawia szerokie biodra pod masujące dłonie pani Knot, pani Knot w swojej „pracowni” robi przestrzyki, pan dyrektor Kostryń niekiedy podpatruje przez dziurkę od klucza te przestrzykiwane panny i panie, jednym słowem brudno jest na kopalni, czarny pył węglowy kładzie się na dłoniach, duszach i charakterach.

Wielkie to dzieło Kadena-Bandrowskiego liczy 442 stronicie, a na stronicy 436 jest słowo Tadeusza, który przy boku biednej Lenory rekapitułuje kostryństwo i mieniewszczyzną dosadnym słowem: — Jedna straszna, obrzmała, najcholerniejsza cholera!

Powieść ta ma do wykonania zadanie olbrzymie. Przedewszystkiem jest to zwierciadło podstawione wszystkim Kostryniom, tym nędznym, hańbiącym imię polskie fagasom obcego kapitału, pieskom chodzącym na zadnich łapkach około Coeurów wszelakich, mających dla autochtonów Konga, czy Patagonji, czy Rumunji, czy wreszcie Polski tylko jedno uczucie: bezbrzeżnej pogardy.

Jest też ta powieść pierwszym wielkiem dziełem o proletariacie i jego walce z kapitałem najeżdżczym. Robotnik nie jest tu stylizowany ani na modłę doktryny wywrotowej, ani według wzorów bogoojczyźnianych. Chytry szpicel Supernak, biedny, straszliwie wyzyskany stary palacz Szymczyk, rezonujący doktryner Martyzel, zaciekle młodociany komunista Duś, to typy żywe, realne i aktualne.

Kaden-Bandrowski zstąpił po prawdę do swej powieści głęboko pod powierzchnię życia polskiego, jego praca w kopalni jest tylko symbolem. Jeszcze nikt nie napisał takiej straszliwej prawdy o polskiej niewoli ekonomicznej, jak on. Nie przemilczał nawet odszczepieńczego księdza Kani, chociaż jakiś konwencjonalny bonton literacki nakazuje takie rzeczy przemilczać, nie dostrzegać ich, nie rozumieć.

Lud polski wszędzie, gdzie spotyka się z Coeurami, działającymi w interesie wielkich koncernów zagranicznych, ugina się pod nieznośnym jarzmem wyzysku i przestaje wierzyć w Boga, w sprawiedliwość, w konieczność utrzymania ładu i porządku społecznego. I wszędzie odwraca się z najgłębszą pogardą nie od obcych kapitalistów, bo umie myśleć dość realistycznie, aby zdać sobie sprawę, że obcy kapitał niczem nie związany z państwem i społeczeństwem, rabuje co może i gdzie może — ale odwraca się z odrazą od wszystkich Kostryniów, tych Judaszów nikczemnych, którzy za pieniądze pozwalają policzkować

się przez Coeurów i pozwalają pluć sobie w swoje niecne, wytarte pyski.

Są w książce Kadena sceny pełne dojmującego wstępu, gdy nędzny fagas Kostryń łasi się nędznieszemu od siebie Coeurowi, składa mu raport z tego, czego sam dowiedział się od swojej donosicielki masażystki Knot i od fizycznego i moralnego kaleki Supernaka, a Coeur ani spojrzeć na niego nie raczy. Kiedyindziej idzie Kostryń do Coeura, gdy ten już leży w łóżku. Składa mu raport, chociaż Francuz nie odsłonił nawet kotary. Co za haniebna sytuacja! Gdyby był przyszedł nieco wcześniej, byłby w łóżku swego dyrektora zastał może swoją sprytną i wesołą córeczkę Zuzę, chociaż nie byłby jej mógł zobaczyć, bo Francuz nie raczył dla autochtona odsunąć kotary.

Niechże na miły Bóg nikt nie myśli, że to są fantazje pisarskie! O kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy i w Warszawie samej pracują Coeurowie i łaszą się im Kostrynie, bite nieraz przez swoich pracodawców po pyskach. Po książkę tę sięgają robotnicy i czytają ją z radością, że wreszcie ktoś słyszany i słuchany w całej Polsce mówi o ich krzywdzie i przehaniebnej roli Kostryniów. Jest to pierwsze wielkie dzieło nie tylko o proletariacie, lecz i dla proletariatu. Będzie czytane i rozumiane przez tych, którzy są w niem opisani.

Jest w tem dziele obraz jakiegoś apokaliptycznego wyczekiwania cudu przez ludzi skazywanych na śmierć głodową kaprysem draństwa obcego i rodzimego. Radzą, rozprawiają, czekają Boga, że się zmiłuje. Jest stary Szymczyk, palacz, któremu ogień przeżarł palce, pozostaje mu jeszcze tylko kilka dni pracy, bo został zredukowany przez pana dyrektora Kostrynia. „Wyrwał się, runął na kolana, wznosił w górę dłonie chorą wodą nalane, otwarł drżące usta — i okazało się, iż nie wie o co prosić... Tylko się tu na klęczkach oblał potem perlistym”. Co za tragedja! Stary człowiek, robotnik, który życie całe przepracował, przedmiot czci i szacunku wszędzie indziej, staje się igraszką jakichś przybłędów i ich fagasów.

W „Przedwiośniu” domagał się Żeromski idei dla młodego pokolenia, grożąc, że w przeciwnym razie młodzież pójdzie po ideę do obcych, może nawet do wrogów. Na przykładzie Baryki pokazał, że istotnie z wszelkiej Nawłoci żywa i czująca młodzież ucieka w jakieś życie, w ruch, w pracę i energję. Publicystyka woła o ideę już od szeregu lat, zdając sobie sprawę z prostego faktu, że bez idei żywy naród istnieć nie może. I oto wielki pisarz niesie ideę, która może i powinna wypełnić życie kilku pokoleń. Jest to idea dalszego wyzwolenia Polski. Po upadku politycznym przyszła niewola ekonomiczna, przyszedł też niedowład duchowy. Kaden-Bandrowski wskazuje wielkie zadanie wyzwolenia ekonomicznego, a jednocześnie bezpośrednio z życia bierze przykład przekonywujący jak najwyższe sprawy ducha, sprawy religji łączą się bezpośrednio ze sprawami chleba powszedniego. Żaden traktat naukowy, choćby z największą erudycją napisany, nie pouczyłby nas tak dobitnie o niewoli ekonomicznej i jej straszliwych skutkach, jak książka pisarza, który po prawdę swoją zstąpił głęboko pod powierzchnię życia polskiego.

Gdyby się znalazł ktoś, kto by próbował zlekceważyć ostrzeżenie znakomitego pisarza, redukując destrukcyjne znaczenie Coeurów i Kostryniów, moglibyśmy odesłać go do władz państwowych, aby się od nich dowiedział, że przedstawiciele tysięcy robotników powyrzucanych na

bruk, od lat kołaczą do wszystkich instancji władzy państwowej prosząc o ochronę przed skutkami polityki Coeurów i Kostryniów. Jest niejako schematem, że kapitał zagraniczny wysyła do „autochtonów” typy najbezwzględniejsze drapieżne i krwiożercze. Znamy już ten system od lat kilku. Z pośród łasej i sprzedajnej lichoty angażuje się kilku Kostryniów, wśród robotników organizuje się system szpiclowania i kontrszpiclowania, gdy zachodzi potrzeba organizuje się strajki, aby następnie można było zamknąć fabrykę i wyrzucić na bruk tysiące ludzi. To już jest system. Następnie angażuje się na najlepiej płatne posady swoich rodaków, a gdy rozgoryczone „autochtony” dają wyraz niezadowolenia, przenosi się do biura do Warszawy, a miejscowym władzom miejskim grozi się, że podatki będą płacone w Warszawie. To jest system dostrzeżony i opisany przez wielkiego pisarza i biada społeczeństwu jeśli powieść jego nie przemówi do niego dość mocno, nie pobudzi do czynu solidarności narodowej.

Od książki tej nie można oderwać się z garścią wzruszeń estetycznych. Estetyka łączy się tu ściśle z etyką obowiązku, twórcze piękno sięga w dziedzinę polityki, socjologii, ekonomji. Czytałem kiedyś krótki czterowiersz poety czeskiego Bezrucza: „Chleb i węgiel noszę wciąż do pracy, od roboty chodzę do roboty, nad Dunajem wznoszą się pałace z mojej krwi i z mego potu”. Wiersz jest wstrząsający. Gdzieś na pięknych bulwarach i avenue wznoszą się już pałace budowane rękoma naszych bezdomnych i głodnych, którzy wściekłość swoją za krzywdy wyrządzone im przez Coeurów i ich fagasowatych Kostryniów skierowują ostrą nienawiścią przeciwko własnemu społeczeństwu i jego organizacji państwowej.

Żaden organizm społeczny nie zniesie chronicznych wrzodów w postaci kostryństwa, leczonego lichutkiem antidotum bardzo wątpliwej mieniewszczyzny. Tu jest idea, którą za swoją przyjąć powinna przedewszystkiem ta szlachetna młodzież polska, która z takim zapalem podjęła sprawę samostarczalności przemysłowej. Niech na przód przyczyni się do spopularyzowania przewodniej myśli „Lenory”, niech książeczka tej utoruje drogę do bibliotek robotniczych, niech porozysła po egzemplarzu tej powieści wszystkim znanym Kostryniom i Coeurom, niech wreszcie spojrzę na Lenorę, jako na siostrę swoją wdeptywaną w błoto butem brutalnego obcego interesu, a serce wskaże drogi i środki ku wolności.

Jakimi bliskimi i drogimi uczynił nam artysta takich dalekich ludzi jak stary Szymczyk, Lenora, Tadeusz Mieniewski, konająca Supernaczka, marząca o odrodzeniu duchowem, bo od tego — „krew poprawić się może i siły wrócić mogą”!... Lenora to symbol niepokonalnej czystości serca dziewczęcego, wdeptywanego w błoto przez obcy interes i obcą niegodziwość. Błoto bryzga dokoła, a ona zostaje czysta i zacna.

Koło tej kopalnianej dziewczyny staje inteligent Tadeusz, syn lidera partji socjalistycznej, dwoje ludzi, dla których serce społeczeństwa nie ma dość ciepła, dwoje ludzi bezdomnych naszego pokolenia. Już nie jednostek, ale typów reprezentowanych bardzo licznie. Książeczka Kadena-Bandrowskiego to wołanie o solidarność społeczną i narodową, wzywianie do utworzenia opinji publicznej, któraby pogardą zabijała to plugastwo, które pod imieniem Kostrynia winno być pilnie wykrywane i wyrzucane poza nawias zdrowego, pragnącego żyć i pracować narodu.

Jak wszystkie książki Kadena-Bandrowskiego, tak i „Lenorę” czyta się z zapartym oddechem. Jest tu treść swoja, oryginalna, wydobyta z głębi życia poskiego, jest tu i forma własna. Styl jest plastyczny, wnikliwy i sugestywny. Gdy ojciec Mieniewski rozmawia z synem i gdy w pewnej chwili rozmowa przybiera ton nieco ostrzejszy, czuje się w słowach opowieści suchy trzask wyładowań namiętności. Niektóre obrazy i sceny odczytuje się jeszcze raz i jeszcze raz, jak np. obraz Kania w domu jednego z robotników. Chora suchotnica leży na łóżku, sąsiadki siedzą dokoła niej i rozmawiają o gospodarstwie, o kapuście z drożyną, mężczyźni usiłują powiązać jakoś rzeczywistość ciężkiego, niecznośnego życia z ideałem i doktrynami. Kania transponuje to życie w wysokie oktawy przeznaczeń Bożych i nadziei urzeczywistnienia królestwa Bożego, a w to wszystko wtrąca się raptem radio i przychodzi szpiclująca kochanka dyrektora Kostrynia, pani Knotte. Ale książka Kania „nie przerwał mowy. Ani muzyki nie przerwał błąd krążek głośnika. Jakieś dziwaczne nowożytnie tany dalekiego powietrza snuły się wciąż przez izbę, pomieszane z słowem księdza aż krwawem chyba od tyłu prawd wieczności”.

Kaden-Bandrowski ma swoje niespodzianki składniowe i figlarnie poważne przymiotniki, a nawet interpunkcję własną, która melodyzuje jego zdanie. Tą składnią, tym stylem i nawet melodią interpunkcji prowadzi pisarz czytelnika w krainę wydartą Lenorze i Tadeuszowi przez obcych przybłądów i ich fagasów. Przywiązuje serce czytelnika do tych postaci, które uważa sam za godne kochania. Powieść „Lenora” nie ma zakończenia, ale jest początkiem czegoś. Z wielkiem zaufaniem i wzruszeniem wyczekiwać będziemy dalszego ciągu losu tych ludzi, którym nas tak serdecznie zainteresował. To nie jest tylko dzieło sztuki, ale czyn, początek czynu nowego i dalszy konsekwentny ciąg wyzwoleńczego czynu legionowego.

Paweł Hulka-Laskowski.

SMUTEK

*Przez ponure sny płynąć, jak przez czarną wodę
i w złowieszczych marzeniach serce swoje topić,
gdy myśli poczną mrokiem nabierać, jak wrzodem,
i mrokiem sływać w serce, jak zapiekłą ropą...*

*W niebo zorsą sparzone, chmurami spuchnięte,
powędrować oczyma powoli, posepnie, —
gdy wypełźnie za którejś ulicy zakretem
melodja, zakochana w swoim własnym pięknie...*

*Nie umieć się pocieszyć szeptem młodych liści,
w niczyich oczach nie móc przejrzeć się, jak w lustrze, —
niczyjego imienia, jak wody do picia,
nie móc podać skrzywionych, zaciśniętym ustom...*

... I to jest smutek.

RADOŚĆ

*Przybiegala tu radość o policzkach smagłych
i smutnemu dniowi opaloną pięścią
tę do oczu wciskała, aby z rzęs nie spadły,
bo utopiłoby się w nich dzieciątko-szczęście...*

*Przybiegała tu radość z dniem smutnym pod ramię,
w koszuli haftowanej uśmiechów jedwabiem,
w spodnicach furkocących, migotliwych snami,
w których dzień się rozkochał, dzień smutny i słaby...*

*... I radość już przebiegła, i dzień się, przesączył;
i tylko wieczór pada nabrzmiąły od westchnień, —
i tylko gwiazdy świecą, jak paznokcie lśniące
w czarne włosy wczepione rozpaczliwym gestem.*

Hanna Huszcza-Winnicka

POETA

Feliks Buhn ma lat czternaście.

— Jesteś jeszcze bardzo młody i masz życie przed sobą — mówi matka. Ostatniej niedzieli byli oboje u kamienniarza. Wybierali sarkofag dla ojca, który miał już życie za sobą. Buhn był smutny. Wymyślił sobie refren:

— I pieśń bez echa się kończy. — Powtarzał go wkółko na wicherze zimnym, gniotąc stopami wieczne błoto ulicy Zamiejskiej. Bardzo smutno przejeżdżały wozy i żalobnie ćwierkały wróble uwijające się w sadzie ze smutnemi drzewami, potrząsającemi resztką liści. Matka rzekła:

— Kiedy oni wybrukują tę ulicę?

Buhn uśmiechnął się gorzko. Poczem pomyślał.

— Oto uśmiechnąłem się smutno i nic nie odpowiedziałem.

Buhn ma swój osobny piękny pokój. Wchodzi się tam po schodach. Niby piętrowy dom. W środku na piętrze, duży, trochę niski pokój, po bokach dwa czarne, niebezpieczne strychy. W kącie stoi łóżko, w drugim szafa, w trzecim półka z dwunastoma książkami, w czwartym musiał stanąć zamczysty kufer przywleczony ze strychu. Już piąta. Trochę mroczno. Nad stodołą sąsiada chwieją się trzy ogromne drzewa. Te trzy drzewa uginają się pod wiatrem i chcą objąć czwarte mniejsze, które cofa się z lękiem. Czasem mniejsze drzewo oglądnie się za siebie i widząc krwawe niebo zachodu wraca do bezpiecznych konarów trzech olbrzymów. Wówczas, trzy olbrzymy uchylają się z gniewem.

Zdaje mi się, że one już nigdy się nie pogodzą — myśli Buhn ze smutkiem.

W księżycowe noce jesienne cicho jest na dworze i tajemniczo. Dach blaszany u sąsiada Wachułki lśni. Gdzieś daleko naszczekuje pies. Zamilkł. Buhn gasi lampę naftową, pochyloną ze starości. Przez oszklone, drzwi które miały wychodzić na niedokończony balkon, wchodzi długi pas księżycy i kładzie się na podłodze. Czarna szafa śpi. Buhn otwiera pocichu okno. Ostrożnie by nie zbić coś szklanego w powietrzu. Pije chłodne, srebrne światło. — Czych — czych — czych... padają zwiedłe liście kasztana u Wachułki. Buhn nie śmie oddychać. Jak wysokie jest niebo. Jak strasznie długa niepojęta droga do drżących gwiazd. Droga przez bezmiary, bez ścian, bez dna, bez sufitu. Usłana z błędzących chmur, na które aniołowie strącają skrzydłami meteory. Okno, to wyjście na ogromny, wspaniały świat nad ziemią. Buhn ogląda się. Patrzy

na miczące zamknięte drzwi. Są zamknięte na klucz. Nikt z czarnych niskich strychów wleść nie może. Temi drzwiami wyszedł kiedyś kaszlący ojciec i położył się do łóżka na dole. Tak — drzwiami schodzi wdół. Jeśli ojciec miał duszę, musiał któreś nocy po śmierci, wejść do pokoju i wypłynąć tem oknem w gwiazdy. Kiedy to zrobił? Buhn zapala szybko lampę. Dziesiąta. Kładzie się do łóżka, pomodliwszy się do Matki Boskiej Częstochowskiej. Pogodnej i pięknej. Z koroną na głowie i dwoma szramami na łagodnej twarzy. Jeszcze raz patrzy chwilę przez okno. Odwraca głowę od czarnych drzwi i przytula ją do ściany.

Czy można być równocześnie jakałą i poetą? Buhn przeczytał już wiele żywotów poetów. Niestety — jakały wśród nich nie spotkał. Brzydkich było dużo, O to był spokojny. Buhn zużywał wiele czasu na wypowiedzenie zdania. Zaczynał gwałtownym zaczerwienieniem się. Potężna fala wymowy wydymała mu grube wargi, rozsadała nos, wypierała na wierzch oczy.

Przerabiając szybko palcami wybuchał gwałtownie: dy-dy-dy-dydy!! — dopiero po tym wstępie wylatywała znagła kilka wyrazów dawno już wykonanych za szczękającymi zębami. Wylatywały i padały zaraz jak martwe ptaki. Za niemi następowało znowu gorczakowe, bezsilne łopotanie całego tłumu słów: dydyd!!! — dy-dy-dy.

W pierwszych dniach każdego roku szkolnego, gdy „wyrivano” Buhna, klasa trzęsa się z uciechy, a profesorowie gryzli usta. Zato, gdy usiadł i wszyscy byli przekonani, że Buhn milczy, zrywał się w jego głowie cały orkan wyrazów i okresów krasomówczych, wypowiedzianych zimno i dokładnie, z niebywałą siłą przekonywującą. Buhn chwycił wówczas za papier i pisał szybko, niewyraźnie, długimi krzywymi linjami. Po powrocie do domu, czytał. Nic nie rozumiał.

— Czy to są wiersze? — pytał matki.

— Mój ty kochany synku! — uśmiechała się matka.

Buhn szedł do swego pokoju i tam z okna groził całemu światu:

— Kiedyś padniecie przede mną na klęczkach.

Co to są lata, które dopiero mamy przeżyć? Co to są lata już przeżyte? Czyż te i tamte nie są widmami, które obok nas płyną?

Buhn ma już lat siedemnaście.

O dwa kroki oddalił się od okna i jest już bliżej drzwi, które wiodą wdół. Buhn oblicza — za lat dziesięć rozwinę się, zmężnieję. Nie będzie mnie martwił dzisiaj deszcz, choć miałem iść do lasu. I to, że w moje wiersze mama zawięła łupiny z kartofli dla świń. Przystanąć się czerwienić przy pannach i oduczę się jkania.

Nikt nie padał przed Buhnem w pokłonie. Gdy przeczytał matce długi poemat, opiewający dzieje zapomnianych kłosów na ściernisku, matka westchnęła.

— Jesteś już przecież dużym chłopcem.

A profesor od polskiego powiedział:

— Dawaj, mój kochany, ale to przecie nie ma żadnego sensu. Ani myśli pięknej, ani logiki! Poco to piszesz?

— Dy-dy-dy-dydy! — odpowiedział Buhn i wrócił z wypiekami do domu.

— Nie mam już życia przed sobą — pomyślał ze strachem.

Znowu do pokoju wlewa się światło księżycy. Buhn siedzi przy oknie i patrzy w gwiazdy. Jest jesień, jak lat temu trzy. Cały pokój unosi się tysiące mil w górę. Na dole są mgły. W górze gwiazdy. Mleczna droga jest zawsze ta sama i prowadzi zawsze — tam. Drogi pod mgłami na ziemi są ślepe. Każda ma twarde przegrody i doły. Nie można iść. Zawiele ludzi. Popychają, biją, tratują.

Gwiazdy z niebem całym ruszyły i są o tysiące nowych mil bliżej.

Jest jasno i przezroczyście.

Wspaniałej, niebieskiej lampy ciszy żaden kamień tu stłuc nie może.

Buhn wyteża wzrok. Widać już mgliste kłęby anielskich skrzydeł.

Unosi głowę. Mgły rzedną.

Buhn wchodzi na mleczną drogę i zanurza się w otchłanie międzygwiazdne.

Drzwi wdół wiodące otwarły się.

Na drugi dzień, daleko, na ziemi pokrytej brudnymi mgłami, rzekł profesor kolegom Buhna odeszłego nazawsze:

— Nie wychylajcie się nigdy z okien.

Stefan Balicki

NA MARGINESIE

Dnia 28 listopada odbędzie się uroczysta akademija w Krakowie, — jako w rocznicę śmierci Stanisława Wyspiańskiego. Rocznicę tę, jak wiemy z doświadczenia przypominać trzeba nie tylko ogółowi, lecz nawet czynnikom, które kierują wielkimi instytucjami artystycznymi w Polsce.

W związku z dorocznym obchodem ku czci największego poety i dramaturga współczesnej Polski przypominaliśmy z tego miejsca wielokrotnie sprawę nagrody literackiej Krakowa. Na nagrodę taką zdobyło się ostatnio Wilno, podnosząc ją do wysokości 5,000 złotych. Ufundował nagrodę literacką Poznań, ma ją Łódź, Katowice stworzyły wielki konkurs literacki! W przeciwieństwie do tamtych miast, Kraków, ongiś stolica młodej Polski, kołębka tak żywotnych szkół literackich, jakby zapomnieć chciał o pięknych swych zasługach na polu literatury.

**

W roku bieżącym obchodzi dwudziestopięcioletni jubileusz swej działalności księgarskiej J. Mortkowicz. P. J. Mortkowicza zaliczyć należy bezsprzecznie do rzędu najkulturalniejszych wydawców polskich. Mortkowicz wytworzył swego rodzaju typ książki, tak powieściowej, poetyckiej, jak książki ozdobnej z dziedziny sztuki. Typ, — w sensie wydawniczym estetyczny i udatny.

W zakresie szerokiej idei propagowania książki polskiej Mortkowicz, jak i inni wielcy wydawcy nasi nie potrafił przełamać panujących dotąd wśród wydawców naszych przesądów zastarzanych, co do stosunku społeczeństwa do książki. Śluszne zasady Forda produkcji możliwie najlepszej i najtańszej nie przeniknęły jeszcze synchredjonu największych naszych wydawców. Świadczy o tem wymownie chociażby tylko niezmiernie wysoki procent, jaki księgarze pobierają od siebie wzajemnie za po-

średnictwo przy sprzedaży, procent sięgający niejednokrotnie aż do cyfry 50.

Świadczy o tem wymownie również, niezorganizowana prawie zupełnie reklama książki, brak prasy wydawniczej o poważniejszym typie, brak, wreszcie, wyszkolonego typu pracownika księgarskiego.

„Świat Książki” czasopismo, które niebawem ma opuścić prasę pod redakcją Mortkowicza ma dążyć do wypełnienia luk w dziedzinie prasy wydawców.

**

„Książki”, miesięcznik wydawany przez Arcta w Warszawie w numerze listopadowym z powodu rychłego otwarcia wystawy dziesięciolecia książki w wyzwolonej Polsce przynosi w artykule wstępnym cały szereg słusznych haseł i zawołań, dotyczących rozwoju książki polskiej. Aby była drukowana — *na polskim papierze, w polskiej drukarni, polskimi czcionkami przez polskiego robotnika*. Aby księgarstwo polskie przyczyniło się do ożywienia szeregu gałęzi przemysłu krajowego. Aby książka stała się chlebem powszednim, i — naturalnie, bardzo słusznie, — oby księgi zbłądziły pod strzechy.

Jak widzimy, pośród tych godnych i rozumnych haseł na frontonie miesięcznika wydrukowanych, zapomniano o dość ważnym przyczynku, współdziałającym z książką, a mianowicie o autorze, który książkę pisze. Może i jemu należało się jedno, drugie słowo z racji dziesięciolecia książki, temu pocziwemu człowiekowi, który książkę pisze?!

**

Ten sam listopadowy numer „Książek” przynosi dalszy ciąg ankiety na temat „Powiedz mi, co czytasz, a powiem ci kim jesteś”. Ankietę obsyłają najpoważniejsi działacze, mężowie stanu, wypowiadając się tak w dziedzinie beletrystyki, jak i literatury naukowej. Całość ankiety daje nie tylko przegląd zainteresowań najwybitniejszych czytelników w Polsce, lecz służyć może, jako ciekawy poradnik w wyborze lektury.

**

W ostatnich literackich dodatkach wielkiego pisma niemieckiego „Germania” spotykamy dwa większe artykuły świetnego propagatora literatury polskiej na zachodzie D-ra Ottona Forst de Battaglia, a mianowicie o Krasińskim p. t. „Der Dichter der Ungöttlichen Komödie” i o Historji Literatury Polskiej St. Dobrzyckiego. Artykuł o Krasińskim daje cudzoziemskiemu czytelnikowi biografję Krasińskiego nader umiejętnie połączoną z zarysem całokształtu dzieła wielkiego poety. Rozprawka o Historji Literatury daje jasny przegląd kierunków i wytycznych literatury polskiej, stwierdzając konieczność przekładu tego rodzaju dzieł na niemieckie.

**

Ostatni numer Pologne Litteraire z dnia 15 października, poświęcony prawie całkowicie pobytowi Chestertona w Polsce może służyć za wzór, jak należy ujmować i grupować materiał, określony tego rodzaju wizytami literackimi. Znajdujemy tu konspekt wszystkich artykułów poważniejszych, poświęconych w Polskiej prasie twórczości Chestertona, dokładny przebieg pobytu pisarza u nas, jego przemówienia, przemówienia polskich pisarzy, wreszcie bogaty materiał ilustracyjny. Całość ułożona umiejętnie, jasno, z umiarem i smakiem.

**

„Le Journal de Voyages” z października przynosi krótki, lecz zwarty w treści, bardzo rzeczowo napisany artykuł Aleksandra Guttry'ego o współczesnej literaturze polskiej (La Litterature Polonaise d'Aujourd'hui). P. Guttry potrafił w stosunkowo szczupłych ramach dać czytelnikowi przegląd najwybitniejszych sił literackich naszych i ich trafną charakterystykę.

jkb.

KRONIKA LITERACKA

Prof. Dr. Józef Ujejski: „Naundorf Windras i Towiańszczyzna” (Lwów, osobne odbicie „Pamiętnika literackiego” R. XXV z 1928 r.)

O Towiańskim pisało już wielu krytyków i badaczy epoki romantycznej, lecz nie wywiązali się ze swego zadania. P. Dr. Zofja Schmitt-Gąsiorowska poświęciła pióro sprawie narodowej Andrzeja Towiańskiego, prof. Dr. Józef Kallenbach omówił działalność Towiańskiego z punktu widzenia faktów historycznych; prof. Pigoń opracował „Wybór Pism” autora „Biesiady” w Bibl. Narod., wreszcie rozwiązał i rozstrzygnął nagłą sprawę stosunku Naundorfa, Windras'a do Towiańszczyzny prof. Dr. Józef Ujejski, znany z dzieł metodycznych, szczególnie z cennej i wzorowej monografii o Antonim Malczewskim. Poruszył właśnie prof. Ujejski kwestję stosunku „Sprawy Bożej” Andrzeja Towiańskiego do „Sprawy Miłosierdzia”, reprezentowanej we Francji przez Piotra Michała Eugenjusza Windras'a. Prostuje dalej prof. Ujejski mylne założenie profesorów J. Klejnera i Kallenbacha, wysuwając bardzo cenne argumenty, oparte na historycznych faktach, a potwierdzone gruntownym materiałem. Na mocy korespondencji Towiańskiego z A. Mickiewiczem, oraz kołem francuskim, wykazał prof. Ujejski dość charakterystycznie działalność proroka polskiego, który dążył do wyzwolenia Polski przez objawienie, również zaznaczył prof. Ujejski, że autor „Biesiady” był pod wpływem Naundorfa i Windras'a, od których nie mógł się uniezależnić. Jest to bardzo cenna rozprawka pod względem metodycznym, jak również i materiału. Czekamy obszerniejszego opracowania działalności Towiańskiego na emigracji.

Psychologja twórczości literackiej.

Tygodnik „Die Literarische Welt” urządził wielką ankietę wśród czołowych pisarzy niemieckich w sprawie ich twórczości. Ankietę opracował znany psycholog niemiecki dr. Hirschfeld.

Ankieta składa się z szeregu pytań, dotyczących przyczyny powstania dzieła, kwestji inspiracji, techniki realizowania pomysłu i rozwijania tematu, kwestji okoliczności przychylnych lub nieodpowiednich dla pracy, korekty i wreszcie stosunku do gotowego dzieła.

Z pośród szeregu odpowiedzi przytaczamy poniżej w streszczeniu trzy najważniejsze, Tomasza Manna, Stefana Zweiga i Jakóba Wassermana.

Mann stwierdza, że pomysł określonej koncepcji jest wynikiem kilku planów. Nie wymaga to prowadzenia specjalnych notatek. Praca trwa regularnie od 9 rano do

12-ej. Natchnienie (inspiracja) musi iść w parze z pracą. Do pracy trzeba się zmuszać. Nie używa Mann żadnych środków podniecających. Mann pracuje wszędzie, byle miał tylko dach nad głową. Okres pracy poprzedza okres studjów przygotowawczych. I tak np. okres poprzedzający napisanie „Zauberbergu” odznaczał się wyjątkową ilością materiałów przestudjowanych i zebranych w spory tom. Dialogi są prawdziwą rozkoszą. Wolniej tworzy się opis. Najtrudniej jest w partjach abstrakcyjnych. Mann pisze półtora strony dziennie, koryguje następnego dnia. Dzieło ukończone przestaje istnieć. I pisarz dziwi się, że potrafił coś takiego stworzyć (dziwi się z zadowoleniem). Ale pęd do doskonalszego dzieła zmusza go nowej pracy.

Zweig. Inspiracje do tworzenia daje jakiś nagły zbieg koliczności, konflikt zdarzeń staje się dopiero związkiem pomysłu. Pracuje w rozmaitych, niestałych odstępach czasu. Najlepiej gdzieś w podróży, wśród nowych ludzi. Nie przygotowuje żadnych konspektów. Piśse zawsze ołówkiem i ten tekst jest prawie zawsze ostateczną formą. Korekty robi niekiedy ogromne, stąd szalone wydatki nakładcy. Zmienia wiele i nie czyta gotowej książki.

Wassermann. Pomysł, a raczej wizja obrazów, składa się z rzeczy widzianych i przemyślanych w ciągu wielu lat. Myśli nasuwają się przeważnie w nocy, ale nie notuje ich. Zapisuje tylko czasami jakieś specjalne zwroty. Pracuje 2 godziny przed obiadem i 3 po obiedzie. Zmusza się do pracy, ale ucieka przed łatwością pracy. Dużo pali papierosów. Koryguje nieraz po 20 razy. Czyta czasami swe dzieło po długich latach. Ale interesuje się niem tylko w czasie tworzenia.

Ford literatury.

Tak nazwało pismo amerykańskie „World” Edgara Wallace'a autora 140 powieści kryminalnych, „Word” zaźdrości Anglii, że posiada takiego pisarza, takiego naprawdę amerykańskiego pisarza. Wallace jest również jednym z najbogatszych pisarzy świata. Nic dziwnego. Nakład jego dzieł w języku niemieckim dosięga miliona egzemplarzy. W angielskim przekroczył zawrotną cyfrę 5,000,000. I w polskim niestety dochodzi do pokaźnej cyfry.

Wallace stara się również o pozyskanie tytułu króla dowcipu. Tytuł ten należał dotychczas również do Forda. Wymaga to jednak produkowania jednego bon-mot tygodniowo. To też Wallace na jednym z obiadów wydanych na jego cześć przez klub dziennikarzy londyńskich, oświadczył: — Nieprawdą jest jakoby jednocześnie dyktował 15 powieści przed 15 dyktofonów...

Wallace zdementował fałszywe pogłoski o jego fałszywej literackiej...

Indeks belgijski.

Jak donosi „Mercure de France” znaleźli się na indeksie belgijskiego ministerstwa oświaty następujący pisarze francuscy: Margueritte, Rachilde, Kessel, z angielskich: Somerset-Maugham.

Powieść prezydenta Masaryka.

Znany pisarz czeski Karol Capek drukuje swoje rozmowy z prezydentem Czechosłowacji Masarykiem. Mię-

dzy innemi wspomina Capek o tem, że Masaryk znalazł przed pewnym czasem kilka stron z rękopisu powieści, którą pisał za młodych lat, jako student uniwersytetu wiedeńskiego. Powieść ta miała za temat życie wiejskie.

Nowości rosyjskie.

Ostatnie wydania puszkiniowskie dotyczą stosunku Puszkina do włościan i przynoszą tom listów kobiet do Puszkina. Krytycy rosyjscy nie próżnują. Dowodem tego jest nowe wydanie twórczości Lermontowa przez Szczegolewa i książka Szklowskiego „Styl i materiał w powieści Tolstoja „Wojna i pokój”. Z literatury współczesnej ukazały się pierwsze tomy wydań zbiorowych Asiejewa i Chlebnikowa, druga część trylogji A. Tolstoja „Choźdenje po mukam”, oraz szereg powieści nieznanych dotychczas młodych autorów. Należy również wymienić pożyteczne wydawnictwo „Współcześni pisarze Zachodu”. Jest to mała encyklopedia, zawierająca około 600 nazwisk pisarzy europejskich.

KANTORBERY TYMOWSKI W PRZYCZYNKACH P. KRZOWSKIEGO

(*Gł. Pr. Lit. Nr. Nr. 260, 261 **).

Artykuły p. Krzowskiego o Kantorberym Tymowskim, poecie bardzo mało dotychczas znanym, nie wyczerpują tematu zawartego w swych tytułach, jużto ze względu na ich charakter, jużto, że autor nie dotarł do niektórych źródeł. Samo stanowisko p. Krzowskiego również nadaje się do dyskusji. A uważam, że mam prawo zabrania w tej kwestji głosu, gdyż podobnie, jak autor ogłoszonych przyczynków, od kilku lat pracuję nad studjum biograficzno-literackiem o tym poecie.

Nasamprzód do artykułu pierwszego p. t.: „Kantorbery Tymowski w Tow. Przyj. Nauk”. (*Gł. Pr. Lit. Nr. 260 i 25.VIII. 928*) muszę poczynić takie rzeczowe uzupełnienia. P. Krzowski, mówiąc o działalności Tymowskiego w Tow. Przyj. Nauk, podaje fakt uchylania się poety od roli czynnej. Przykładu pozytywnego nie podał. Otóż mogę stwierdzić, że napotkałem posiedzenie Towarzystwa, na którym Tymowski wystąpił publicznie. Dnia 7 maja 1824 r. po mowie pochwalnej Staszica ku czci Stanisława Kostki Potockiego, Tymowski recytował związany z uroczystością wiersz. (*Gaz. Warszawska Nr. 72 r. 1824*). Z pewnością była to oda lub elegja, wysławiająca czyny i zasługi społeczne wieloletniego mistrza i protektora poety.

Co się tyczy przynależności Tymowskiego do towarzystw naukowych, to można dodać, że należał autor „Dumania żołnierza polskiego” od kilku już lat, jako członek-korespondent, do Krakowskiego Towarzystwa Przyj. Nauk, zanim Warszawskie powołało go w swe szeregi. (*Rocznik Tow. Nauk. z uniwersytetem Krakowskim połączonego t. IV. 1819*).

*) Redakcja udziela głosu oponentowi w przeświadczeniu, iż rzeczowa dyskusja przyczyni się do wyjaśnienia sprzeczności.

W zakończeniu o tym artykule muszę podkreślić za niedbanie strony językowej, wobec czego nie wszystko, co p. Krzowski napisał jest dostatecznie przejrzyste.

Artykuł następny „Kantorbery Tymowski jako tłumacz Schillera” (*Gł. Pr. Lit. Nr. 261 z dn. 2.IX. 928*), ciekawszy z natury tematu, nasuwa więcej uwagi — i zdaje się — godnych zainteresowania.

Cały wywód autora, mający służyć za tło historyczno-literackie na którym rozwinął się polski schillerizm, jako skądinąd dobrze znany a w ujęciu p. Krzowskiego nic nowego nie dający, — pomijam. Nie będę też wchodził w polemikę między p. K. a prof. Szyjkowskim. Zaznaczę przecież, że „Ideały” schillerowskie niemało zaważyły zarówno na szali romantyzmu kielkującego, jak też romantyzmu w rozkwicie. Kamiński, Minasowicz, Tymowski żywią entuzjazm względem „Ideałów”. Podobnie wiele zapału budzi ten wiersz w romantykach. Wiadomo, że „Oda do młodości” wyrosła na tym gruncie. Poezja Schillera bowiem — jak mówi prof. Chrzanowski — natchnęła Mickiewicza miłością ideałów, albo raczej jego własną miłość ideałów rozplomieniła. (I Chrzanowski — Chleb macierzysty Ody do młodości). Pióro swe poświęcił „Ideałom” B. Zalewski, a M. Gosławski w wolnym przekładzie dał temu utworowi tytuł „Urojeń”. Oczywiście pomijam przekłady późniejsze. Przytoczyłem powyższe, aby wskazać ogniwo, łączące wierszopisów preromantycznych z poetami okresu mickiewiczowskiego.

W związku z tym przekładem muszę zarzucić p. Krzowskiemu, że — według utartej dziś a niesmacznej modły — zjadliwe polemizuje z nieboszczykiem J. N. Kamińskim i zewszeczmiar słuszne jego rozumienie pojęcia „ideał” nazywa zwykłym mędrkowaniem”. Czyżby p. K. był człowiekiem bez ideałów? Nie wyczuwał ich wyższości nad najwznioślejszemi marzeniami, nie mówiąc już o urojeniach, w których tkwi zabarwienie uczuciowe ujemne?

Opierając się na wyznaniach Brodzińskiego, stwierdza p. K. gorące zajęcie się Tymowskiego utworami Schillera. Istotnie zapalił się nasz poeta do tej poezji. Ale całkowicie pominął p. K. tak ciekawe i ważne podstawy psychologiczne tego zjawiska. Dlaczego twórca hymnu „An die Freude” był tak bliski Kantorberemu? Oczywiście nie forma uworów Schillera porwała Tymowskiego. Zabiorę więc głos w tej sprawie.

Du, die du alle Wunden heilest,
Der Freundschaft leise, zarte Hand,
Des Lebens Bürden liebend teilest
Du die ich frühe sucht und fand.

Temi słowami przemawia niemiecki poeta w końcowym wstępie „Ideałów”. Pochwała przyjaźni jest właśnie jednym z ogniw łączącym wpływy poezji schillerowskiej z podobnym kultem tej cnoty w zasadach wolnomularskich. O tym właśnie związku będę mówił

W rozmowach z Eckermanem wyraził się Goethe, że przez wszystkie dzieła Schillera przebija się idea wolności. Wszak wolność była też jedną z naczelných zasad wolnomularstwa. A więc mocne jej umiłowanie, cechujące Tymowskiego, znalazło odpowiedniki tak w poezji twórcy „Dziewicy Orleańskiej”, jak i w identycznych hasłach masonskich. Ten wzajemnie potęgujący się wpływ dwu jednakowych ideologii zadecydował o wyborze dru-

giego utworu Schillera, którego przekładem Tymowski się zajął. Jest nim hymn „Do radości”.

Po przekładzie Minasowicza umieścił Pamiętnik Warszawski przekład pióra Tymowskiego. Przyczem od siebie dodała redakcja następującą uwagę: „Dla miłośników ojczystej poezji sądźmy uczynić niejaką przyjemność, kładąc tu ten nowy przekład dla porównania ich z sobą”. Być może, iż powtórne ogłoszenie utworu w nowym tłumaczeniu istotnie miało na celu sprawienie „niejakiej przyjemności” miłośnikom ojczystej poezji, ale wynikała z tego także inna korzyść. Hymn ten cieszył się ogromnym uznaniem w łóżach. Był on szczerym wyrazem kultu wesołości. A jak tę w zakonie ceniono, stwierdza nieraz obrzędowy Brodzińskiego:

Wesołość córka światła, cnót i niewinności
Przy powadze zakonu szanowano gości.

Miał więc ten hymn charakter nieco propagandowy, wytwarzał bowiem atmosferę, na jakiej wolnomularzom zależało, aby pośród „światowych” czytelników Pamiętnika Warszawskiego była krzewiona.

Na zainteresowanie się Tymowskiego twórczością Schillera wpłynęły częściowo — jak już zaznaczyłem — sympatje wolnomularskie względem autora „Ideałów”. To też nie bez kozery jest zbieg okoliczności, że Tymowski przekłada właśnie ten utwór, służący za pieśń radosną na zebraniach łóż. Podobnie T. Wolański w „Pieśniaku” umieszcza własne tłumaczenia kantaty „niezapomnianego Schillera” p. t. „Pochwała radości” z zastrzeżeniem, iż do tejże samej nuty przystosowany co i „Freunde schuner Götterfunken”. Dopóki żyło wolnomularstwo nie tracił hymn na żywotności i jeszcze w roku 1821 zjawiał się w „Wandzie”, przełożony z większą siłą słowa przez Brunona Kicińskiego. Wpływ „An die Freude”, sięgał wgląd twórczości wolnomularskiej, bo też szerokim oddechem wieje z niego ideologia masońska:

Alle Menschen werden Brüder
Festen Mut in schweren Leiden,
Hilfe, wo die Unschuld weint,
Ewigkeit geschwornen Eiden,
Wahrheit gegen Freund und Feind,
Männerstolz vor Königstronen —
Brüder gält'es Gut und Blut
Dem Verdienste seine Kronen
Untergang der Lügenbrut..

Przechodząc wreszcie do spraw ogólnych, muszę zaznaczyć, że sądów tak kategoriycznych, jakie stawia autor tych artykułów, nauki humanistyczne starają się wystrzeżać. Tem bardziej że, jednym zamachem decyduje p. K. o sprawach, wymagających dużego nakładu pracy, wnikliwych badań i wszechstronnej dyskusji. Mam na myśli przedewszystkiem dwie kwestje: 1-o apodyktyczne wynoszenie jednych pisarzy przez odsądzenie od talentu innych, oparte na subiektywno-powierzchnym mniemaniu; 2-o, że poeci legjoniści nie byli klasykami. Nie godzę się w tych dwu sprawach z poglądem p. K., ale nie chcąc rozszerzać zakresu moich uzupełnień, ograniczę się tylko Tymowskim.

Otóż Tymowski niezaprzeczenie był poetą pseudoklasykiem, czy pisarzem klasycyzmu wtórnego schyłkowe-

go. To znaczy świadomość jego literacka mieściła się w pojęciu klasycyzmu Księstwa Warszawskiego. Jeśli autorowi przyczynków jest znany choćby wiersz na Imieniny Napoleona z roku 1811, to niezawodnie przyzna, że Tymowski tworzy w duchu pseudoklasykiem. Mistrzem naszego poety jest w tych czasach St. Potocki: „muza w ustronnym Kobieli wychowana lesie” całkowicie zawierzyła autorowi dzieła „O wymowie i stylu”. Nie mówię, aby Tymowski należał do obozu Koźmianów, Osińskich. Słży jego poglądy literackie i talent poetycki po drodze postępu. Ale stało się to dopiero w latach 1817 — 1821 pod przemożnym wpływem autora rozprawy „O klasycyzmie i romantyczności”. Zmienił wówczas Kantorbery swe credo literackie i sposób pisania („Rym liryczny do p. Gentile Borgondio”), został podobnie przyjacielowi szerczykiem pierwiastkowego romantyzmu („Narodowość”, „Ojczyzna”). W tym sensie Brodziński i Tymowski torują ścieżki Mickiewiczowi, jako preromantycy. Pseudoklasykiem nasz poeta był. Dla p. K. „klasykiem nie był, bo przekładał Schillera”. Wszak pisał, zanim się zajął poezją niemiecką. Czy w utworach z lat 1810—1816 też pseudoklasykiem niema? Zresztą wpada p. K. w sprzeczność z samym sobą. Raz pisze: „Wprawdzie, zanim Tymowski zajął się gorliwie przekładem Schillera, był zwolennikiem poetów i pisarzy klasycznych, Horacego, Tybulla i Voltaire'a” i t. d. Nieco niżej zaś „Klasykiem Tymowski nie był... bo przekładał Schillera” i t. d.

Niezgodne z rzeczywistością są także słowa p. K.: „Odtąd, t. j. od r. 1818 pisał Tymowski w duchu nowej epoki, a o Voltaire i Horacjuszu już nie wspomni”. Wszak hymn „Do radości” ogłosił nasz poeta w X tomie Pam. Warsz. wspomnianego wyżej roku. Od tej więc chwili miał Kantorbery wykreślić z swej teki wspomnianych dwu poetów. A oto jeszcze w XII tomie Pamiętnika podaje Tymowski do druku „Naśladowanie IX ody Horacego z Księgi IV. Do St. hr. Potockiego (str. 320—22). Przez czas dłuższy w tymże roku 1818 toczą się spory o „Mahometa” Voltaire'a, którego Tymowski przełożył.

Sądzę, że zainteresowanie się poetą miłym dla nas obu może być podniętą do intensywnych poszukiwań i bardziej naukowego ustosunkowania się do zagadnień, co wyjdzie na pożytek historii literatury. Na tem stojąc stanowisku, pragnąłbym, aby uwłaczająca osobom i nauce zjadliwość w polemice była nam obcą.

Arkadiusz Mirkowicz

stud. human.

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

B. Zim... Gdańsk: Z powodu poprzednich wierszy pańskich mieliśmy wiele protestów, że wiersze zbyt futurystyczne, dzikie, chropowate, wariackie i t. p. Uważamy protesty te za niesłuszne. Poezje obecnie nadesłane nie są dobre. Stary ton katarynki w odniesieniu do poruszanych przez Pana tematów współczesnych nie zstraja się dobrze, przeciwnie, daje nieznośny kontrast. Zawracaj z tej drogi jaknajprędzej!

Fr. Rei., W-wa: Wspominaliśmy już o tego rodzaju poezji z tego miejsca wiele razy: Nie dość tu umiłowania tematu, postaci, — trzeba jeszcze mocy talentu, olbrzymiego polotu, by udźwignąć na fali strof tak wielką treść. Nie potrafił pan tego, — niestety. Poprawność nie zastąpi prawdziwej wielkości patosu.

Eug. Sr. W-wa: Odpowiadamy to samo, co Panu Fr. Rei.

Irmon, Gdańsk: Wiersz fatalny, mowy niema o drukowaniu. Puhary, cytry, szaly, — że też ludzie myślą o orgjach tego rodzaju nonsensów?!

Eug. Woch... W-wa: Pisaliśmy już Pani, co trzeba robić: Prześćać pisać wiersze, brać się do nauki, do czytania, kształcić się w miarę sił i możliwości, po paru latach brać się znów do pisania.

Dr. St. P. Poznań: Serdeczne dzięki, — mimo, że nie zgadzamy się zupełnie z tego rodzaju ujęciem problemu. Wogóle, artykuły o dziesięcioleciu literatury świadczyły wymowniej nawet, niż brak rozpraw specjalnych, o wyjątkowo oplakany stan, w jakim znajduje się współczesna polska myśl krytyczna.

J. Gr. Włocławek: Wiersz fatalny, pisany złą polszczyzną. Zacząć od gramatyki!

XY.: Nie odradzamy pisać — talentom. Jesteśmy bardzo wyrozumiali. Odradzamy sztuki pisania zdecydowanym grafomanom, t. j. ludziom, których popycha do spraw literackich próżność, pretensjonalność i t. d. Pańskie wiersze nie są płodami grafomana. Znać tu dużą kulturę, oglądę, — nie widzimy jednak jeszcze oznak prawdziwego talentu. Dość wyrobionej już formie nie odpowiada żadna treść, żadna namiętność.

St. Sierp.: Bardzo ciekawe, — wydrukujemy. Bardzo porządnie napisane.

Odpozynek, Hold Chopinowi i t. d.: Wiersze liche. I niema co nad nimi radzić. Za dużo Pan już wie, za dużo Pan czytał, by nie zdawać sobie sprawy z wartości tych wierszy. Jest w tem jakiś brak szacunku dla samej sztuki pisania. Pisze się to, co się czuje. Trzeba to odpowiednio wyrażać, świeżo, pięknie, wyrażenia trzeba zgrupować w zdania, zdania w treść. Napisać utwór, to tyleż samo, co zbudować dom. Co najmniej tyle samo! Czy wyobraża Pan sobie budowniczego, któryby nie dbał plan, szczegóły tego planu i t. d.

M. Wr. W-wa: Wiersz zaczyna się bardzo dobrze i chyba trzeba było zostać w tym charakterze popularnej „idylli“; tymczasem Pan zmienia nagle ton, wielką sprawę społeczną załatwia kilku zdawkowymi słowy — i całkiem niespodzianie bez żadnego uzasadnienia wraca Pan do pierwszego tonu. Przerepracować to trzeba porządnie!

Sulisław K. miasto wiadome: W wierszach pańskich spotykamy wiele prawdy, wiele szczerości. Szczerłość tę oczyścić jeszcze trzeba z nabytej przez lekturę, zapożyczoną od innych, nie własnej, nie oryginalnej ozdoby poetyckiej. Niech się Pan stara przy pisaniu odtwarzać to właśnie i to tylko co Pan czuje, czego może się Pan dosłuchać z największym najszczerszym wysiłkiem w sobie samym. Dar tego rodzaju trzeba hodować, wzmagać, ćwiczyć wysiłkiem woli, niezmiernie pilnym i uczciwym. Więc, — niech Pan pracuje w tym kierunku, cierpliwe, spokojnie bez przymusu. Jest to praca niezmiernie delikatna, prawdziwa praca poety.

C. B. Dużo zręczności i wielka sztuczność. Zarzucić zupełnie ten rodzaj pisania a raczej wierszowania i próbować prawdziwej prostej skromnej poezji.

Wernyhora, Łochów: Utwór słaby, nie posiada żadnej wartości, nie wypada poświęcać tak słabej poezji cieniem poległych.

Niezgala, Nowogródek: Tego rodzaju wiersze nie powinny być wogóle drukowane, niema w nich wiele poezji. Pisarz musi wiedzieć o czem pisze i dlaczego. Jeżeli sam nei wie, nie przepoi wiara w swój utwór czytelników. Czyż słuchałby Pan chętnie kogoś, kto nudziłby Pana tem, iż nie wie, co ma Panu powiedzieć?

M. M. W-wa: Wiersz nie ma żadnej wartości. Tendencja patriotyczna nie pokryje nigdy braku talentu. Wolimy zawsze w literaturze piękną poezję „bez idei“, od pięknej idei — bez poezji.

S. H. Wiersze wcale nie są kiepskie. Jest w nich obraz, jest rytm, jest polot słowa i piękna odległość barw. Nie rozwiązał Pan jeszcze swego Hamleta, ale narzuca go Pan już, narzuca pięknie, szczerze, z wielkim wdziękiem. Pisać dalej, pracować. Czekamy nowych prób, bardziej dojrzałych w kompozycji.

Koluszkowianin: Opowiadanie bez żadnej wartości, — niestety. Opowiadanie, to przecie nie artykuł ani sprawozdanie, — coś całkiem innego. Różnica bardzo drobna, lecz istotna: Opowiadanie musi narzucić wyobraźni czytelnika przebieg akcji, charakter ludzi. Trzeba na to wielkiej zręczności i wielkiego porządku w ustaleniu następstwa zdarzeń, nakreśleniu charakterów ludzkich. Nawet Pan nie pomyślał o tych trudnościach?!

Ignacy Kr. Dobrze, dobrze — „miasto“, — ale wiersz niema żadnego sensu. Jakże się to stało i, — czy przypadkiem, czy umyślnie?!



Czytajcie

Tygodnik

„Głos Prawdy“



REDAKTOR I WYDAWCA: **WOJCIECH STPICZYNSKI**

Drukarnia „Literacka“, N.-świat 22,

Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem.